

ŻYCIE NAUKI

MIESIĘCZNIK NAUKOZNAWCZY

TOM I

MAJ 1946

NR 5

KONWERSATORIUM NAUKOZNAWCZE I REDAKCJA „ŻYCIA NAUKI” podjęły inicjatywę założenia kartoteki uczonych polskich oraz towarzystw i instytucyj naukowych, która ma być podstawą rocznika nauki polskiej, wzorowanego na podobnych wydawnictwach obcych w rodzaju *Minerva Jahrbuch* lub *Index Generalis*. Inicjatywa obcyła znalazła uznanie i poparcie Polskiej Akademii Umiejętności i Wydziału Nauki Ministerstwa Oświaty. Redakcję rocznika objął dr Bolesław Olszewicz, profesor Uniwersytetu Wrocławskiego.

Kartotek podobnych ma Wielka Brytania dwie, jeśli nie więcej — *Scientific Research Register* i *Universities Register*. Mają je również Stany Zjednoczone A. P. i inne kraje. W Polsce kartoteki pracowników naukowych, stanowiącej nieocenioną podstawę do wszelkich zestawień personalnego stanu nauki polskiej we wszystkich dziedzinach oraz do opracowań naukowych, dotychczas nie ma. Trudności, związane z zorganizowaniem tego przedsięwzięcia i zebraniem materiałów, są ogromne, lecz mamy nadzieję, że działalność nasza spotka się ze zrozumieniem całego polskiego świata naukowego, który nie odmówi nam swego poparcia i ułatwi pracę. Już w najbliższym czasie rozpoczniemy rozsyłanie kwestionariuszy do wykładowców i sił pomocniczych szkół wyższych, gdyż zebranie pewnych wiadomości personalnych możliwe jest jedynie przez ankietę.

Wszystkie towarzystwa naukowe, instytuty badawcze, archiwa, biblioteki, muzea oraz naukowe instytucje wydawnicze prosimy o nadsyłanie nam swych adresów, abyśmy mogli w swoim czasie

rozesłać im kwestionariusze do wypełnienia. Instytucje naukowe, zatrudniające pracowników naukowych nie pracujących na żadnej uczelni wyższej, prosimy o podawanie ich nazwisk.

Jest rzeczą zrozumiałą, że projektowane przez nas kartoteki i wydawnictwa, których celowość i użyteczność nie ulega najmniejszej wątpliwości, mogą być szczegółowe i wyczerpujące jedynie przy czynnej współpracy wszystkich polskich uczonych i instytucyj naukowych. Toteż o współpracę tę najmocniej prosimy.

KONWERSATORIUM NAUKOZNAWCZE
i REDAKCJA „ŻYCIA NAUKI”

LUDWIK FLECK

Problemy naukoznawstwa

JEST rzeczą niezwykle interesującą, jak dalece uczeni, którzy całe swoje życie poświęcają sprawie odróżniania złudzeń od rzeczywistości, nie umieją odróżnić swoich marzeń o nauce od rzeczywistej postaci nauk.

Przede wszystkim nie istnieje poza marzeniami jakaś jedna nauka, istnieją dzisiaj tylko poszczególne nauki, nie mające w wielu wypadkach łączności ze sobą, niektóre rozbieżne w swoich podstawowych cechach. O nauce można mówić tylko tak jak używamy słowa sztuka dla zadokumentowania wspólnoty dążeń muzyki, malarstwa, poezji itd. Podobnie mają wszystkie nauki wspólne dążenie do idealnego stanu ostatecznego, zwanego prawdziwym poznaniem. Ale tak samo jak sztuka nie jest sumą muzyki, malarstwa, poezji itd., tak samo i nauki nie składają się w zgodną jednolitą całość.

Związek np. między lingwistyką a chemią jest faktycznie bardzo nikły. Przyjmijmy, że powinno być inaczej, przyjmijmy nawet, że kiedyś będzie inaczej — lecz zanim to się stanie, zmieni się chemia i zmieni się lingwistyka. Dzisiejsza chemia bardzo jest odległa od dzisiejszej lingwistyki.

Poza tym, żadna nauka nie zawiera obiektywnego obrazu świata, nawet w znaczeniu jedno-jednoznacznego semantycznego odwzorowania go. Nie zawiera nawet żadnej części takiego obrazu. Gdyby tak było, byłaby w nauce jakaś część stała, niezmienna, wiedza naukowa

rosłaby przez prosty przyrost wiadomości, tymczasem doświadczenie uczy, że zmienia się ona ustawicznie jako całość. Najbardziej pewne, zasadnicze elementy zmieniają się. Każdy fachowiec odróżni stary podręcznik swojej nauki od nowego: jest w całości anachroniczny. Czy to będzie podręcznik fizyki, chemii czy bakteriologii z roku np. 1910 lub 1920, poznamy, że jest przestarzały, nie tylko po braku późniejszych odkryć, ale po całym toku podstawowych wywodów.

Nauki nie rosną jak kryształy, przez appozycję, lecz jak żywe organizmy, rozwijając każdy lub prawie każdy szczegół w harmonii z całością.

Nie znam stałych, ostatecznych wyników w mojej dziedzinie, wiem natomiast, że każdy wynik staje się prędzej czy później źródłem nowych zagadnień, a skoro się je rozwiąże — już te dawne wyniki mają inny sens niż sam ich autor przypuszczał. Wiem, częstokroć starają się pracownicy naukowci wmówić sobie i innym, że oni właściwie ten nowy sens jakąś cudowną intuicją przewidywali, ale dokumenty świadczą, że tak nie jest. Widuje się cegiełki swojej roboty wbudowane do budynku przez innych pracowników złożonego. I dziwi się w gruncie rzeczy autor, że tę właśnie powierzchnię, po wypolerowaniu, użyto na front, a schowano inne. Czasem jakiś kant tej cegiełki, uwydatniony przez obciosanie, staje się częścią ornamentu, którego się w ogóle nie miało w planie. Czasem chciałoby się po pewnym czasie swoją myśl dawniej ogłoszoną cofnąć jako niesłuszną i niezdatną do życia — i stwierdza się ze zdumieniem, że właśnie ona rozwinęła się i rozrosła w społeczeństwie naukowym. Wyniki naukowe mają swoje własne życie, przechodzą swoje własne koleje — tym szybciej zmieniają się, im szybszy jest rozwój nauki. Tylko przesady i zabobony trwają bez zmian przez całe wieki, podobne w tym do tautologicznych twierdzeń matematyki lub logiki.

Można by sądzić, że ciągła zmienność jest stanem przejściowym, dowodzącym niedoskonałości dzisiejszej nauki i jej tendencji do doskonalenia się, że możliwy jest stan ostateczny, nie ulegający już zmianom, i że się do niego zbliżamy. Wprawdzie żadna nauka jeszcze dzisiaj nie zawiera jakiejś części obiektywnego obrazu świata, ale wszystkie coraz bardziej zbliżają się do niego.

Ponieważ każde większe odkrycie odbija się na całości nauki, taki stan ostateczny, choćby dla jednego jakiegoś większego zagadnienia, byłby osiągalny dopiero po rozwiązaniu wszystkich zagadnień. Ale co to znaczy „wszystkie zagadnienia”, skoro ciągle mogą powstawać nowe? Trzeba by zatrzymać ruch planet, drganie pyłków w po-

wietrze, ewolucję istot żywych i — co najważniejsza — ruch myśli ludzkiej, bo inaczej ciągle powstawać będą nowe, nieoczekiwane problemy, których rozwiązanie zmusi do rewizji całego systemu.

Simplicius: Mylisz się, ilość prawdziwie odrębnych zagadnień jest ograniczona. W miarę postępu nauk będą się redukowały całe grupy zagadnień do jednego zasadniczego zagadnienia, a przede wszystkim ulegną eliminacji zagadnienia pozorne.

Sympatius: Więc stan ostateczny wyglądałby tak: Skończony *Codex Pansophiae* i jako nieodzowny dodatek *Komentarz* do tego kodeksu, który by zawierał przede wszystkim zasady transformacji, redukcji i eliminacji zagadnień. Więc np. o zagadnieniu kamienia filozoficznego nie byłoby oczywiście w kodeksie wzmianki, ale w komentarzu byłby obszerny artykuł o rozwoju chemii z alchemii i odsyłać do kodeksu, do rozdziału fizyki o transformacji pierwiastków, do rozdziału biologii o hormonach, starości i śmierci (eliksir życia) i do rozdziału patologii o chorobach, które kamień ten miał leczyć. Natomiast np. całą masę praktycznych pytań z chemii, jak co do rozpuszczalności pewnej substancji, jej punktu topnienia, jej własności optycznych itd. — odsyłałby komentarz do jednej, jedynej formułki w kodeksie, z której można by to wszystko wydedukować. W komentarzu byłby też przepis użycia tej formułki do celów praktycznych. Każdy fachowiec, szukający odpowiedzi na zagadnienie z obcej dziedziny, musiałby je naprzód wylegitymować i transformować w komentarzu. Uparty filozof nie znalazłby w kodeksie odpowiedzi na zagadnienie Absolutu, Pierwszej przyczyny, Idei dobra, Istoty wszechrzeczny itd., lecz wszystko to byłoby w komentarzu wraz z wytłumaczeniem eliminacji tych pytań. Uczeń, chcący wiedzieć co robi wiatr wtedy, kiedy nie wieje, lub dlaczego sofistom wydawało się, że Achilles żółwia nie dogoni, i wiele podobnych rzeczy, nie znajdzie tych zagadnień w kodeksie, lecz w komentarzu, gdzie dokładnie wytłumaczy się mu, dlaczego tak pytać nie wolno...

Simplicius: Słusznie.

Sympatius: Zastanawiam się, czy logika (wraz z umiłowaną przez ciebie logistyką) znajdować się będzie w kodeksie czy w komentarzu? A matematyka? A fizyka teoretyczna? Słowem obawiam się, że komentarz będzie dużo ciekawszy od kodeksu. Będzie tam cała historia nauk, wszystkie zagadnienia bezpośrednio praktyczne, 99% filozofii, prawdopodobnie nauki formalne, popularna wiedza dla niedouczonego (bo chyba ludzie nie będą się rodzili od razu z zupełnym wykształceniem?). Wśród komentarzy będą też przepisy praktyczne dla ekspe-

rymentatorów, bo jeśli nawet eksperymenty odkrywcze będą już niepotrzebne, to jednak dla celów praktycznych pozostaną konieczne.

Natomiast sądząc, że *Codex Pansophiae* będzie raz na zawsze ułożony przez międzynarodową komisję na kształt zbioru formuł i grafików, uporządkowanego w jakimś teoretycznie uzasadnionym porządku. Zamiast spisu rzeczy będzie na pierwszej stronie formuła tego porządku. A grafiki tekstu będą „barwnymi stereografikami n-wymiarowymi”, do oglądania przez okulary ze szklami, które będą zmieniały 20 ($n - 2$) razy na sekundę barwę, aby kolejno widziane szczegóły rysunku dawały wrażenie n-wymiarów, podobnie jak powstaje złudzenie ruchu w kinematografie. Co za wspaniałym przeżyciem będzie oglądanie takiego grafiku! Zupełnie jak Faust nad znakiem Kosmosu!

Ponieważ układy kodeksu mógłby jakiś śmiałek spośród komentatorów chcieć zmienić (pod pozorem ulepszenia), co wywołałoby nie miłe wstrząsy, trzeba będzie kodeks prawnie chronić. Natomiast komentarze będą się żywo zmieniały, ulepszały, rozwijały...

Czy nie sądzisz, Simplicju, że w takim razie twoja *Pansophia* trzymałaby się bez zmian tylko dzięki policji i stałaby się podobna do martwych przepisów, jak np. rytuał kultów religijnych, a właściwą nauką stałyby się owe komentarze? Że powstawałyby wciąż nowe nieoficjalne kodeksy, które by zyskiwały coraz więcej zwolenników? Że więc właściwie nic nie różniłoby zasadniczo tego ostatecznego stanu od dzisiejszego? Że więc ten „stan ostateczny” — mówiąc twoim językiem — nic nie znaczy? Możesz, jeśli chcesz, przyjąć, że go już osiągnęliśmy: *panta rhei* — oto kodeks wszechwiedzy, lub jeśli wolisz: $A = A$. Wszystko inne, to komentarze do tego kodeksu. Jeśli zaś wydaje ci się wiedzą zbyt ogólnikową i chcesz mieć zupełnie szczegółową, musisz chyba sam wszechświat uważać za system wszechwiedzy, a naszą naukę za komentarz do niego.

Simplicius: Zdaje mi się, że znowu przesadzasz. Chyba nie zaprzeczysz, że wiedza dzisiejsza bliższa jest obiektywnego obrazu świata niż wiedza sprzed 100 lat? I poza tym ów, jak ty to nazywasz, „kodeks” nie musi być oddzielony od komentarzy. Przeciwnie, obok pozytywnej, ścisłej i pewnej strony naszego poznania naukowego, wymieniane muszą być dane historyczne, przewyciężone błędy, uwagi pedagogiczne, wskazówki praktyczne, wszystko w tonie swobodniejszym, mniej ścisłym, słowem artystycznie.

Sympatius: Dziękuję ci za nadzieję uratowania artyzmu. Przykro mi, że nie mogę twojej ustepliwości odwzajemnić. Nie sądzą, aby wiedza dzisiejsza była bliższa obiektywnego obrazu świata niż wiedza

sprzed 100 lat. Natomiast jestem przekonany, że wiedza dzisiejsza jest bliższa dzisiejszego naszego świata, zaś wiedza sprzed stu lat była bliższa ówczesnego świata twórców nauki. Sam twierdzisz, że *consensus omnium* jest ostatecznym sprawdzianem nauki. Czy w tym parlamencie nieurodzeni mają głos? Czy wnuki głosują za dziadków? W takim razie zapewniam cię, że naszym wnukom wiedza z r. 1940 nie będzie się wydawała o wiele lepsza niż wiedza z r. 1840. Jestem przekonany, że postęp nauk będzie szedł w przyszłości bardzo szybko i dziesięć lat będzie więcej znaczyło niż dawniej sto. Co do wyższości naszej wiedzy nad wiedzą sprzed 100 lat: Jest nas, pracowników nauki, dzisiaj dużo więcej niż było przed stu laty, mamy dłuższą historię za sobą, nasz świat zawiera więcej szczegółów, jest zawilszy — dlatego nauka nasza jest rozleglejsza, bogatsza w szczegóły i głębsza z powodu większej ilości związków wewnątrznaukowych, ale to wszystko. Jeśli „stan ostateczny nauki” nic nie znaczy, czy może być mowa o zbliżaniu się do niego?

Simplicius: Obawiam się, Sympatju, że twoja ultrakrytyka i twój przesadny relatywizm prowadzą do bezpłodnego sceptycyzmu. Jakiś pewny i stały fundament nauki musi istnieć, inaczej cały budynek byłby wywrotny. Dzisiejsza wspaniała technika i jej dalsze możliwości dostatecznie legitymują naszą naukę. Nasz aparat poznawczy, techniczny i myślowy jest coraz lepszy — i nauka idzie przecież naprzód!

Sympatius: Nauka to nie jest ziemski budynek stojący na fundamencie i ozdobiony na szczycie facjatką. Nauka jest raczej jak okrągły owoc o soczystym miąższu i grubej niestrawnej skorupie. Możesz go dowolnie obracać, podstawa jest szczytem i szczyt jest podstawą, zależnie od twojej woli, lecz zawsze są jednako twarde i niestrawne. Tylko środek nauki jest pożyteczny, fundamenty matematyki, fizyki, chemii, biologii są równie twarde, wątpliwe, chyba bezużyteczne. I szczyt jest taki sam. By cudowny ten owoc rósł, trzeba go we dwa ognie wziąć: gorący, lecz ciemny, ogień romantyzmu i zimny, lecz jasny, ogień sceptycyzmu. Równie konieczne jest romantyczne marzycielstwo twórcy jak i zazdrosny sceptycyzm konkurentów. Powiedziałbym nawet, że właśnie ta zazdrość stwarza społeczną wartość poznawania, bo deprywatyzuje wyniki. Moje wywody nie mają na celu umniejszać wartość nauki, lecz przeciwnie — podnieść ją.

Są ludzie, którzy sądzą, że można budować naukę o poznawaniu bez gruntownych obserwacji, eksperymentów i studiów z tej dziedziny. Uważają je nawet za zbędne, bo z góry wszystko wiedzą, uznając idealizm lub materializm, intuicjonizm lub konwencjonalizm, pozytyw-

wizm lub realizm. Na podstawie kilku anegdot z historii nauk, kilku własnych doświadczeń życiowych i mnóstwa sugestii z czyjejs strony przyjmują „światopogląd”, który im wszystko wyjaśnia.

Nie można na nauki patrzeć wyłącznie jako na zbiór zdań lub system myśli. Są to zawiłe zjawiska kulturalne, niegdyś może indywidualne, dziś zespołowe, na które składają się odrębne instytucje, odrębni ludzie, odrębne czynności, odrębne zdarzenia. Zdania pisane, zwyczaje nie pisane, własne cele, metody, tradycje, rozwój. Przygotowanie umysłu, zręczność rąk. Specjalna struktura organizacyjna z hierarchią, sposobem komunikowania się i współpracy, sądem organizacyjnym, opinią publiczną, prasą i zjazdami. Odrębny stosunek do innych przejawów życia kulturalnego, do społeczeństwa, do państwa, itd., itd.

Miałem rzadką sposobność obserwować przez prawie dwa lata pracę naukową kolektywu złożonego z samych laików. Wyniki tej obserwacji wyjaśniają niektóre problemy naukoznawcze dużo lepiej niż spekulatywne dyskusje. Kolektyw pracował nad zawiłymi problemami z dziedziny tyfusu plamistego, posiadał do dyspozycji kompletnie wyposażone laboratoria, mnóstwo zwierząt doświadczalnych i obszerną literaturę fachową. Było to w obozie koncentracyjnym Buchenwald (Turyngia), więc istniała tragiczna odpowiedzialność za wyniki, a pracownicy byli zupełnie zdani na siebie, bo niemiecki *Leiter* miał wprawdzie wojenny dyplom lekarza, był jednak fachowo zupełnie niewykształcony. Rola jego polegała na dostarczaniu materiałów i pędzaniu do pracy.

W skład zespołu wchodziło: 1) młody lekarz Polak, bez wykształcenia specjalnego, grający rolę kierownika zespołu, 2) doktor praw i filozofii, wybitna austriacka figura polityczna, 3) robotnik fabryki wyrobów gumowych, niemiecki działacz komunistyczny, 4) młody lekarz czeski z początkami wykształcenia bakteriologicznego, 5) praktyczny weterynarz czeski, bez wykształcenia bakteriologicznego, 6) holenderski student biologii ze swym pomocnikiem, studentem 3 lub 4 roku medycyny, 7) wiedeński cukiernik. Ja do tego zespołu nie należałem, w jego pracy żadnego udziału nie brałem, ale mogłem ją z bezpośredniego pobliża obserwować. Kolektyw miał między innymi takie zadanie: zbadać, czy w płucach zakażonych pewną metodą przez nos myszy i królików znajduje się zarazek tyfusu plamistego (*Rickettsia prowazekii*). Wszakże pracownicy nigdy nie widzieli *Rickettsii* i nie znali zwyczajnej flory bakteryjnej płuc i oskrzeli. Nie znali też elementów komórkowych tych organów. Musieli więc na podstawie

opisu i ilustracji nauczyć się widzieć rzeczy elementarne, tj. przejść niejako odwrotną drogę niż ta, którą odbywa normalne poznawanie.

Opisy *Rickettsii* były dwa: dawniejszy Sikory (niemieckiej badaczki) i nowszy Francuza Giroud. W obu jest opisany i ilustrowany zawity cykl rozwojowy tych mikrośbów, bynajmniej nie bezsporny. Otóż członkowie zespołu znaleźli w swoich preparatach mikroskopowych, robionych z miesłychaną drobiazgowością, ściśle według książkowych przepisów, wszystkie stadia cyklu rozwojowego *Rickettsii* i wymaganą ich kolejność — jakkolwiek zarazka tego w materiale swoim wówczas w ogóle nie posiadali: ze strątów barwika, kulek tłuszczu, różnych bakterii, z resztek komórkowych ułożyli cały cykl rozwojowy. Nie stało się to od razu. Konstrukcja ta rosła pomалу, wśród wzajemnego podniecania się i umacniania w poglądach. Nastroj kolektywny, który był motorem tej fantastycznej syntezy, składał się z napiętego oczekiwania efektu, z chęci, by być pierwszym, który coś stwierdzi, i by nie spóźnić się z potwierdzeniem, że już coś zostało stwierdzone, by zadowolnić kierownika, który nalegał. Składowe nastroju były więc w zasadzie identyczne z normalnie spotykanymi. Taką sytuację — narodziny odkrycia — zaobserwowałem:

Kierownik (czyni wyrzuty biologowi, że nie nauczył się jeszcze barwić *Rickettsii*): Gdyby były dobrze zabarwione, można by je w preparatach z płuc zakażonych zwierząt zobaczyć, bo według literatury znajdują się tam na pewno.

Biolog (do swojego pomocnika, w celu odwrócenia uwagi kierownika): Dzisiaj preparaty wyglądają jakoś inaczej niż zwykle...

Pomocnik: Trzymałem je nieco dłużej w Xylołu.

Biolog: Co to za błyszczące, jednostajnie różowe ciątka? Dotąd ich nie widywaliśmy. Czyżby...

Pomocnik: Zauważyłem je również, od razu uderzyła mnie ich obecność. Może to owe *corps homogènes rouges* według Giroud?

Biolog: Właśnie to myślałem.

Kierownik (zagląda do mikroskopu): Tak, to mogą być one.

Pomocnik: Z pewnością, cóżby innego?

Biolog: Więc mamy je nareszcie.

Kierownik: Najwyższy czas. Nareszcie coś pozytywnego.

Były to ziarenka eozynofilne z leukocytów królika, jak potem stwierdziłem. Ale wśród spragnionego zespołu rozeszła się wieść: znaleziono nareszcie *Rickettsie* w preparatach z płuc króliczych. Skoro radosny nastrój opanował kolektyw, pewność wyniku nie ulegała już wątpliwości: kolektyw ufał swojemu kierownikowi, kierownik polegał

na zdaniu swoich „fachowców”, które potwierdził dla potwierdzenia swojego autorytetu, a ci „fachowcy” może z początku trochę czuli, że właściwie wyrwali się jakoś mimo woli, ale zgoda ogółu rychło rozwiąza wszelkie wątpliwości. Cukiernik i robotnik gumowy, reprezentujący „zdrowy rozsądek”, poważnie, z uznaniem popularyzowali odkrycie. Słowem siły socjalne działające w zespole były identyczne z normalnie spotykanymi.

Potem, ogniwo do ogniwa, wyrósł cały cykl. Co nie zgadzało się, szło na karb dopuszczalnej rozbieżności zdań w tej dziedzinie. Przecież Giroud i Sikora także nie całkiem zgadzają się ze sobą. A ponadto wiadomo, że biologia to nie matematyka. *Die unvermeidliche biologische Unexaktheit* brzmiało hasło, rzucone przez wymienionego w spisie członków zespołu doktora praw i filozofii, który był najwyższą instancją krytyczną zespołu.

Rozwój tej „wiedzy” nie odbywał się wcale zbyt pochopnie — przeciwnie, nie oszczędzano sobie długich dyskusji i powtarzania prób. Czasem odwoływano pewne twierdzenia, więc nie wahano się przyznać do pomyłki.

Podobnie jak cykl rozwojowy *Rickettsii*, wyrósł zawiły gmach innych obserwacji i doświadczeń: świnki gorączkowały, skoro je szczepiono n-tym pasażem płucnym (w którym nie było wcale zarazka, a gorączka pochodziła z abscesów w okolicy odbytnicy świnki, powstałych z nieumiejętnego wsuwania termometru). Próby zjadliwości, według Giroud, w skórze królików, dawały oczekiwane wyniki, bo próby skórne w niewprawnych rękach zawsze potwierdzają to, czego się spodziewamy. Próby odporności świnek, które przeszły rzekomy tyfus, wypadały potwierdzająco, bo jeśli nawet drugie zakażenie dawało gorączkę, znajdowano pokrycie dla niej w nieistniejącej pneumonii, którą kolektywne marzenie tak samo konstruowało jak owe *Rickettsie*.

Półtora roku funkcjonowało to zbiorowe złudzenie, ujęte w system nie posiadający więcej luk logicznych niż średni dorobek naukowy. Po epoce „odkryć” przyszła epoka „rutyny” z ustalonymi metodami, ze swoistym dorobkiem doświadczenia i wprawy. I wszystko zgadzało się dla członków zespołu, nie mniej i nie więcej niż w prawdziwej wiedzy. Protokoły doświadczeń, referaty z wyników, proponowane modyfikacje metod szły poza obóz do prawdziwych fachowców niemieckich, ludzi ze znanymi w świecie naukowym nazwiskami i wracały ze słowami uznania. Niemiecki *Leiter* dostał wysokie odznaczenie. Tak wielka jest siła przekonywująca harmonijnego systemu — tak

ograniczona jest weryfikacyjna wartość badania wewnętrznej harmonii systemu.

Interesujący wstrząs nastąpił skoro z prawdziwego instytutu naukowego nadeszły płuca królicze z zarazkiem tyfusu. Preparaty z tych płuc pokazały to, czego żaden opis ani żadna ryćcina nie może w zupełności zastąpić: rzeczywisty materiał. Ale myłliby się, kto by sądził, że jeden bezpośredni kontakt z rzeczywistością naukową obalił całą budowę. Odpadły tylko niektóre najbardziej jaskrawe odchylenia od tego, co widziano w nadesłanym materiale. Zespół nie przyznał nawet poufnie, że całość jego konstrukcji była fałszywa, przeciwnie, stworzył syntezę swojej teorii z nowymi faktami. Stali się tylko bardziej ostrożni i mniej naiwni. Można przyjąć, że szereg podobnych wstrząsów, udzielonych z kolektywu prawdziwej nauki, byłby naprowadził wreszcie na drogę oficjalnej wiedzy.

Tym, co działało przekonująco, nie była sama „prawdziwość” przesłanego materiału, ale przede wszystkim autorytet „prawdziwego instytutu”. Jestem przekonany, że gdyby materiał został dostarczony anonimowo, nie zrobiłby wrażenia. Może by go uznano za zupełnie chybiony, może nawet nie brano by pod uwagę. Widziałem objawy uprawniające mnie do tego wniosku.

Sytuacja była więc taka: Zamknięty, zdany w zupełności na siebie zespół ludzi inteligentnych, pracujący przy pomocy normalnego aparatu naukowego, znalazł pomiędzy poglądem naukowym na pewną dziedzinę a zaobserwowanymi zjawiskami, które niewątpliwie nie należały do tej dziedziny, stosunek uprawniający (zdaniem członków zespołu) do wypowiedzi, że ów pogląd jest odwzorowaniem tych właśnie zjawisk.

Simplicius: Nie opisujesz nic niezwykłego. Wiemy wszyscy, że można się pomylić, zabiłdzić i Bóg wie dokąd zajść. Znamy mnóstwo podobnych przykładów.

Sympatius: Nie mamy przed sobą prostej pomyłki, lecz skomplikowany system pomyłek. Nie szło o stwierdzenie jednego izolowanego faktu (jeśli takie w ogóle istnieją), ale o relacje licznych faktów, więc o to, co nazywamy strukturą pewnej dziedziny i co niektórzy uważają za rzecz intersubiektywnie na pewno stwierdzalną, tj. co do czego rzekomo można się bez reszty porozumieć.

Simplicius: Tak też jest. Dwie różne struktury mogą w jakimś małym zakresie być podobne, ale w każdym przypadku prędzej czy później znajdzie się rozbieżność. W opisanym wypadku z pewnością byłiby badacze prędzej czy później doszli do tego, że praktyczne

konsekwencje ich mylnych poglądów są różne od oczekiwanych na podstawie poglądów prawdziwych.

Sympatius: W twoim „prędzej czy później” jest zawarty *regressus ad infinitum*. Ile szczegółów struktury trzeba ustalić, aby stwierdzić zgodność obrazu z rzeczywistością, lub raczej ile szczegółów dwóch struktur trzeba porównać, aby stwierdzić identyczność obu struktur? Pięć czy pięć tysięcy? Zawsze następny, nie uwzględniony szczegół mógłby być decydujący. Nie możemy porównać „wszystkich”, bo wyraz „wszystkie szczegóły” w odniesieniu do realnych zagadnień nic nie znaczy.

Simplicius: Zasadniczo im więcej tym lepiej. Ale praktycznie wystarcza przeważnie mała ilość.

Sympatius: Ciesz się, że podajesz praktyczne, tj. przestrzegane rzeczywiście w życiu naukowym warunki. Przenosimy się przez to ze spekulacji do obserwacji. Otóż praktycznie — jak obserwacja uczy — jest tak, że dla każdego pracownika naukowego lub raczej dla każdego kolektywu pracowników, bo są to sprawy zespołowe, istnieje charakterystyczny moment, w którym uznaje, że dalszej weryfikacji już nie trzeba. Pogląd zaokrąglił się, usystematyzował, ograniczył, słowem: dojrzał, otrzymał swoją postać zgodną ze stylem myślowym danego kolektywu. Wszelkie dalsze pytania uznał kolektyw za zbędne, wręcz nieprzyzwoite. Nie wolno o pewne rzeczy pytać członków kolektywów religijnych, politycznych lub naukowych. Sam przecież mówiłeś o eliminacji z nauki pewnych zagadnień jako pozbawionych sensu. Lecz są one bez sensu tylko wtedy, jeśli stosujemy do nich styl myślenia naukowego. Pytanie o Absolut, dla nas obu bez sensu, miało i ma sens bardzo głęboki dla wielu ludzi, którzy żyją i giną dla niego — podobnie jak my żyjemy dla Postępu. Sprawa uznania problematyki za wyczerpaną jest więc sprawą stylu myślowego. W danym momencie w miejsce niespokojnej myśli twórczej wkracza na arenę zespołu rutyna. „Już niczego nowego nie trzeba szukać, weryfikacja ukończona, wszelkie próby falsyfikacji byłyby przeciwne dobremu obyczajom. Używajmy spokojnie owoców naszej pracy”. Wszystko to możemy obserwować w rozwoju wypadków w opisanym zespole w obozie,

Taka pomyłka, a raczej taki zamknięty, harmonijny system pomyłek nie może w ogóle zdarzyć się w pracy jednostkowej, podobnie zresztą jak i rozbudowane odkrycie, dające jakiś zamknięty system poglądów, jest zawsze wynikiem pracy zespołowej. Nie było indywidualnego autora pomyłki, wyrosła ona z kolektywnego nastroju, ze

zsumowania się indywidualnych czynów i zaniedbań, z myśli i nie-domówień, z nieporozumień, wynikających z powodu formułowania przez osobnika A źle zrozumianej myśli osobnika B — myśli, której nikt nie żywił, a która nieraz decydowała, bo szła po linii nastroju zespołowego. Nastroju, który stworzył swoiste pogotowie obserwacyjne, decydujące o tym, na co zwracano uwagę, a co pomijano. Aż pogląd wypełnił czarę zainteresowania zespołowego, ułożył się w system, stworzył dla siebie fundament aksjomatów, skostniał w rutynie i mógł trwać wieki — gdyby kolektyw ten trwał wieki i gdyby z zewnątrz nie przyszły obce wpływy. Żaden automatyczny proces nie mógł wywołać korektury, żadne zwiększenie doświadczenia, żadna refleksja.

Najważniejsze jest w naszej historii, że — jak się okazuje — społeczny mechanizm powstawania pomyłki jest taki sam jak mechanizm powstawania prawdziwej wiedzy, badany na źródłowym materiale z historii nauk¹. Dzieje podstawowych odkryć chemicznych, dzieje przemiany teorii flogistonu w teorię tlenu, a więc odkrycia składu wody, ilustrują to doskonale. Także nowsze odkrycia z dziedziny patologii lub biologii wykazują zespołowy charakter pracy odkrywczej i stylowy charakter zamkniętego poglądu, występującego jako organiczna całość. W błędnej i prawdziwej wiedzy te same siły zespołowe grają rolę motoru, a jednostka jest raczej reprezentantem pewnych funkcji społecznych niż świadomym źródłem działania. W błędnej i prawdziwej wiedzy pogląd nie powstaje przez logiczną kalkulację jakichś elementów, ale przez zawiły proces stylizujący. Nie ma obserwacji nie uprzedzonej przez kierujące i ograniczające pogotowie myślowe².

Simplicius: Czy chcesz, wzorem sofistów, przekonać mnie, że między prawdą a złudzeniem nie ma różnicy?

Sympatius: Nie, mój drogi, tak naiwny nie jestem. Chcę tylko powiedzieć, że naukowe wyniki i poglądy są w gruncie rzeczy zdeteminowane wyłącznie jako jednorazowe zdarzenia historyczne w kolejnych etapach rozwoju naukowego stylu myślowego, będącego wynikiem swoistej struktury naukowego kolektywu myślowego. Żaden Robinson, ani grupa Robinsonów, nawet zaopatrzoną w środki techniczne, nie wejdą automatycznie na tory nauki, jeśli będą od społeczeństwa naukowego izolowani. Już częściowa izolacja, spowodowana np. granicami politycznymi, powoduje częściową różnicę wyników, i w tym leży tajemnica wpływu środowiska na naukę.

Ale wróćmy jeszcze do naszego zespołu obozowego: jego styl

myślowy przede wszystkim charakteryzował się zastępowaniem gruntownej wiedzy fachowej (której nie posiadano) i eksperymentów (do których nie miano zaufania) przez rozważania spekulatywne, i zastępowaniem praktycznego doświadczenia fachowego (którego również nie posiadano) przez tzw. zdrowy rozsądek.

Parafrazując znane zdanie Gaussa³ można powiedzieć, że brak wykształcenia fachowego z dziedziny empirycznej najłatwiej poznać po bezgranicznej ściśłości w logicznym wnioskowaniu. Przysłuchiwałem się naradom i dyskusjom, trwającym całe tygodnie, gdzie starano się fachowe problemy rozwiązać spekulatywnie wychodząc z kilku twierdzeń podręcznikowych, grających rolę aksjomatów, i z niewiele danych z własnego doświadczenia, których nie wiano razem w wiedzę, ale wykładano i komentowano — podobnie jak się wykladałaby lub komentuje oświadczenia dyplomaty.

Oto przykład: w stajni doświadczalnej wybuchła wśród królików epidemia, wywołana, jak stwierdziłem, przez bakterie paratyfusowe z grupy D (według Kauffmanna). W pierwszym dniu padło kilka królików w przededniu szczepionych szczepionką z bulionowej zawiesiny zabitych przez ogrzewanie bakterii paratyfusu B (*b. paratyphi* Schottmüller). Szczepienia dokonano celem osłabienia królików, które służyć miały do pasażowania wirusa duru plamistego. W następnych dniach zaczęły ginąć także króliki nieszczepione.

Teoria wypracowana przez kolektyw: ponieważ w tym okresie zaszły przypadki zatrucia mięsem wywołane przez *bac. Gärtner* (także zarazek paratyfusowy z grupy D), należy przyjąć, że również w mięsie, z którego sporządzono bulion wzięty do szczepionki, była endotoksyna Gärtner, która jako odporna na ogrzewanie (jak stoi w książce) zachowała się mimo gotowania. Hodowane w tym bulionie bakterie z grupy *paratyphus B* uległy transmutacji:

endotoksyna D + *bac. paratyphi B* = *bac. paratyphi D*

W książce jest wyraźnie napisane, że właściwa różnica między *paraty. B* a *paraty. D* leży w różnicy endotoksyn (antigeny O). Oprócz tego w innym miejscu jest napisane, że pneumokoki grupy I można zamienić na pneumokoki grupy II przez hodowanie tych pierwszych w roztworze endotoksyny charakterystycznej dla grupy II. Więc takie transmutacje są możliwe.

Przez transmutację uzyskane bakterie z grupy D są dla królików chorobotwórcze, a widocznie będąc na temperaturę bardziej odporne, nie zostały przy ogrzewaniu hodowli bulionowej, z której sporządzono szczepionkę, zabite. Króliki szczepione zostały więc zakażone, od nich

epidemia przeniosła się na inne króliki, które zaczęły w następnych dniach ginąć.

Elementy tej teorii:

1) Aksjomat I, że różnica między *paraty. B* a *paraty. D* leży wyłącznie w endotoksynie. (Fachowiec wie, że różnica ta, choć dla celów diagnostycznych używa się różnicy endotoksyn, jest wielostronna). Aksjomat II, że transmutacja na wzór pneumokoków jest regułą. (Fachowiec wie, że jest wyjątkiem, i że nie może być porównania z transmutacją bakterii paratyfusowych, ponieważ u pneumokoków idzie o różnicę budowy otoczki, u paratyfusowych zaś bakterii o różnicę budowy wnętrza komórki).

2) „Zdrowy rozsądek” dyktował członkom zespołu, że jeśli w pierwszym dniu padły wyłącznie króliki w przededniu szczepione, to związek między szczepieniem a zakażeniem jest oczywisty. (Fachowiec wie z doświadczenia, że jeśli zaledwie kilka królików spośród kilkudziesięciu szczepionych padło, to może być przypadkiem, że padły wyłącznie króliki szczepione, a może też być skutkiem osłabiającego działania samego szczepienia, że okres inkubacji był dla szczepionych krótszy niż dla nieszczepionych, które zachorowały 24 godziny później. W każdym razie bezpośredni związek między szczepieniem a zakażeniem jest w tych warunkach nieprawdopodobny). „Zdrowy rozsądek” dyktował też członkom kolektywu, że równoczesne zatrucie mięsem u ludzi i zgon królików nastrzykanych bulionem z tego mięsa należy wiązać ze sobą, tym bardziej, że ludzie chorowali na *enteritis Gärtner* z grupy D, a króliki padały z powodu infekcji bakteriami tejże grupy. (Fachowiec wie z doświadczenia, że często używa się mięsa z padłych na paratyfus zwierząt do wyrobu bulionu dla hodowli bakterii i że nie pociąga to za sobą żadnych tego rodzaju konsekwencji. Natomiast istnieje prawdopodobieństwo rozniesienia przez szczury bakt. D z resztek zakażonego mięsa do stajni króliczej, jeśli przyjmiemy, że chorobę ludzi i zgon królików wywołał identyczny zarazek, co nie zostało stwierdzone).

3) Spekulatywne elementy: kolektyw zastosował spekulację, wiążącą związkiem przyczynowym kilka hipotetycznych możliwości, z których każda jest bardzo problematyczna, i otrzymał zawiłą teorię, oczywiście jeszcze bardziej problematyczną, w celu wytłumaczenia banalnego zjawiska: epidemii w stajni króliczej.

Fachowiec nie użyłby do wyjaśnienia takiej częstej sprawy zdarzeń, które jak wie z doświadczenia, mogą łatwo być nieistotne, tj. przypadkowe, lub innych, które zachodzą tylko w całkiem specjal-

nych wypadkach. W każdym razie starałby się taką odważną hipotezę poprzeć eksperymentami: stwierdzić, czy w bulionie z mięsa zwierząt chorych jest dostateczna ilość endotoksyny, czy transmutacja opisana może istotnie zajść (rzecz zupełnie nieprawdopodobna) itd. Wyrażenia techniczne, jak endotoksyna, transmutacja, odporność na ogrzewanie, chorobotwórczość zarazka, są dla fachowca słowami oznaczającymi wyniki pewnych określonych eksperymentów i obserwacji, lub wpływającymi z pewnych teorii. Dla laika są to pojęcia, których cała treść zawarta jest w podręcznikowej werbalnej definicji, bo tylko fachowiec wie, że żadna taka definicja nie pokrywa się w całości z treścią tych słów. Laik zna regułę, fachowiec ponadto wyjątki i możliwość dalszych wyjątków. Laik uważa, że regułę podyktował Bóg lub jacyś półbogowie, fachowiec wie, że ułożyli ją jego koledzy. Słowo jest więc dla laika pełnowartościowym równoważnikiem realnego przedmiotu, i operowanie nim — byle według zasad logiki — jest dla niego równoważnikiem doświadczenia. Stąd posługiwanie się spekulacją werbalną i ta charakterystyczna ścisłość.

Słyszałem nieraz jak bez końca dyskutowano nad definicjami, aż wreszcie zaczęto rozróżniać filtrowanie i filtrację, oziębienie i wyziębienie itd., terminy zaś takie jak „objawy mózgowe”, „zakażenie”, „okres wylegania” grały w dyskusji rolę absolutnych bytów, które w danym wypadku istnieją albo nie istnieją, a nie rolę nazw zjawisk mogących występować mniej lub więcej wyrażnie.

Simplicius: Jakie wnioski ostatecznie chcesz wyciągnąć ze swoich wywodów?

Sympatius: Logiczność budowy nie jest sprawdzianem nauki, bo pomyłka systematyczna daje częstokroć logiczniejsze poglądy. Wywód z podstawowych elementów czy elementarnych zdań nie jest sprawdzianem nauki, bo nie ma takich elementów. Tylko od naszego stanowiska zależy, co będziemy uważali za podstawowy element, podobnie jak od naszego stanowiska zależy, które dwie struktury będziemy uważali za identyczne. Zgoda ogółu nie jest sprawdzianem nauki, bo nigdy nie ma zgody „ogółu” lecz tylko „naszego zespołu”, a tą rozporządza także błędne poznanie. Każdy zespół myślowy uważa ludzi nie należących do niego za niekompetentnych. Zastosowalność nie jest sprawdzianem, bo dzięki harmonii złudzeń także błędny pogląd jest zastosowalny. Złotem alchemicznym wielu ludzi wzbogaciło się, podobno nawet wojny były za takie złoto prowadzone.

Jedynym sprawdzianem nauk są swoiste cechy naukowego poznawania: jednorazowość historyczna ich rozwoju, struktura odno-

śnych kolektywów myślowych, charakterystyka naukowego stylu myślowego. Tylko drogą porównawczą, w ramach ogólnej socjologii myślenia, poznamy cechy myślenia naukowego.

Naukoznawstwo jest odrębną nauką, opartą o obserwację i eksperyment, badania historyczne i socjologiczne. Jest częścią nauki o stylach myślowych.

ZAKŁAD MIKROBIOLOGII U. M. C. S., LUBLIN

¹ L. Fleck: *Entstehung und Entwicklung einer wissenschaftlichen Tatsache*. Benno Schwabe, Basel, 1935.

L. Fleck: Jak powstał odczyn Bordet-Wassermanna i jak w ogóle powstaje odkrycie naukowe. — *Pol. Gaz. Lek.*, 1934.

L. Fleck: Zagadnienie teorii poznawania. — *Przegl. filozof.*, 1936.

² L. Fleck: O obserwacji naukowej i postrzeganiu w ogóle. — *Przegl. filoz.*, 1935.

L. Fleck: *Zur Frage der Grundlagen der medizinischen Erkenntnis*. — *Klin. Woch.* 1935.

L. Fleck: *Zur Krise der Wirklichkeit*. *Naturwissenschaften*, 1928.

³ *Der Mangel an mathematischer Bildung gibt sich durch nichts so auffallend zu erkennen wie durch masslose Schärfe im Zahlenrechnen (Gauss).*

ADAM MALICKI

Kilka uwag do dyskusji nad organizacją nauki polskiej

W DYSKUSJI nad organizacją nauki polskiej, toczonej żywo na łamach *Życia Nauki*, poruszono zagadnienie przyszłości naszych uniwersytetów i przedstawiono też projekty ewentualnych zmian, które się całkowicie pracom badawczym. Według bowiem zdania kół, wy- można by na naszych wszechnicach przeprowadzić. Do dyskusji tej pragnę dodać kilka własnych uwag, dotyczących przede wszystkim dwu spraw, mianowicie 1) projektu przekształcenia części naszych uniwersytetów na wyższe szkoły zawodowe i 2) projektu pomnożenia specjalnych instytutów naukowo-badawczych, pozostających bez organizacyjnej łączności z uniwersytetami.

Niektóre koła lansują od pewnego czasu punkt widzenia, że dla dobra nauki należałoby powołać odrębne instytuty, w których siły naukowe, nie obciążone zajęciami dydaktycznymi, mogłyby poświęcić suwających powyższy punkt widzenia, uprawianie nauki w zakładach uniwersyteckich nie daje dobrych rezultatów. Uniwersytety bowiem przygotowujące przyszłych specjalistów praktyków, wg ich wyrażenia „za dużo” poświęcają wysiłków na prace naukowe, a równocześnie z uwagi na wymagania codziennego życia dają „za mało” produkcji naukowej dla celów praktycznych.

Doświadczenia nie tylko dzisiejszych czasów wykazały, że wykłady, mające na celu wyłącznie ułatwienie młodzieży przyswojenia pewnego *quantum* wiadomości konkretnych, mniejszy przynoszą pożytek w porównaniu z wykładami, omawiającymi pewne tylko zagadnienia czy pewne grupy zbliżonych do siebie zagadnień. Samo nadawanie konkretnych wiadomości nie wystarcza, gdyż te wiadomości, które dziś obowiązują, już jutro, w związku z nowymi odkryciami, mogą być nieaktualne. Aby mieć pożytek ze studium, trzeba znać zagadnienia i trzeba opanować metody naukowego dociekania i rozwiązywania zagadnień. Dla uzyskania faktycznych wiadomości konieczne jest uczęszczanie na wykłady. Do tego służą coraz liczniejsze i coraz lepsze podręczniki. Opanowanie pamięciowe treści kilku nawet podręczników nie jest równoznaczne z pozyskaniem kwalifikacji naukowych w pewnej dziedzinie.

Jedyna droga, która wiedzie niezawodnie do opanowania pewnej gałęzi nauk, to opanowanie metody tej dyscypliny i poznanie jej problematyki. Osiągnąć to można przez słuchanie wykładów ludzi pracujących twórczo w nauce, przez przysłuchiwanie się dyskusjom i brażnie w nich udziału, przez powtarzanie eksperymentów przedtem już przez innych badaczy dokonanych, przez próby własnego eksperymentowania, przez obserwacje i uczenie się wyciągania trafnych wniosków. Jeśli więc wyższe szkoły mają wypuszczać absolwentów na prawdę przygotowanych w swoich specjalnościach, to żadna wyższa szkoła nie może osłabić swej twórczości naukowej, lecz wprost przeciwnie, tę twórczość musi coraz bardziej podnosić. Nigdy ani uniwersytety, ani żadne inne szkoły nie zajmowały się i nie będą zajmować się „za dużo” nauką.

Jeśli rozpoczyna się dyskusję nad przebudową form organizacyjnych nauki polskiej, której głównymi kuźnicami są uniwersytety, to wpiertw trzeba konkretnie wytoczyć argumenty, przekonywające, że uniwersytety nie spełniły swego zadania w warunkach istniejących. Tymczasem każdy nieuprzedzony musi bezwzględnie przyznać, że mimo istniejących trudności uniwersytety polskie w latach 1920—1939 chlubnie zdały swój egzamin, że dokonały więcej, niż się można było spodziewać, jeśli uwzględnimy środki materialne, którymi rozporządzały.

Zrozumiała jest chęć podniesienia nauki polskiej ponad dotychczasowy poziom, ale z tej chęci nie mogą wynikać skutki, które by oddziaływały na normalne funkcjonowanie głównych ognisk nauki polskiej. Wszelkie regulowanie tej kwestii w sposób

apodyktyczny, od góry, musi podzielać niewątpliwie w sposób szkoldliwy.

Uniwersytety polskie w swoich początkach oparły się o obce wzory, częściowo za obcymi wzorami wprowadzały z czasem pewne zmiany w swojej organizacji, ale przechodząc przez ewolucję, posiadały też cały szereg i pierwiastków swoistych. W wyniku końcowym uniwersytety polskie posiadały pewien odrębny styl strukturalny, różniący je od uniwersytetów w innych krajach. Ponieważ rezultaty naukowe i dydaktyczne uniwersytetów są w jakimś określonym stopniu pochodną ich struktury organizacyjnej, to jeśli zgodziliśmy się na to, że wyniki dotychczasowe były pomyślne, zgodzić się też trzeba na to, że i organizacja naszych uniwersytetów nie może być wadliwa w tym stopniu, aby wymagała w sposób naglący zmian. Jeśli zaś mamy wprowadzać zmiany, które wyjść mają na dobre nauce polskiej, to w żadnym razie nie prowadzi do tego droga przez pomniejszanie roli uniwersytetów w pracy badawczo-naukowej, ani przez segregowanie uniwersytetów na bardziej i mniej uprawnione do twórczości naukowej. Zmiany, które mają wyjść na dobre nauce, muszą polegać na polepszeniu warunków materialnych i duchowych, które wzmogą twórczość naszych uniwersytetów, i to nie pewnych wybranych, ale w jednakowym stopniu wszystkich.

Jeśli stawia się w dyskusji za przykład wzory obce, to trzeba sobie uświadomić, że to co daje ewentualnie pomyślne rezultaty gdzie indziej, może zawieść całkowicie w Polsce. Twórczość naukowa wymaga odrębnego „klimatu”, na który składa się szereg składników, nie zawsze materialnie uchwytnych. Państwo polskie, rujnowane raz po raz wojną, pokrywane się zgliszczami kilkakrotnie w ciągu wieku, z wyrwami dotkliwymi w bibliotekach i zbiorach naukowych, nie może sobie pozwolić na lekkomyślną gospodarkę finansową. Bodaj nigdy nie będziemy w stanie tworzyć fundacji naukowych w rodzaju fundacji Rockefellera czy Smithsona. Inne kraje, na które chcą się zapatrywać nasi projektodawcy, nie tylko, że zaspakajają potrzeby własnej nauki, ale dysponują ponadto milionowymi pozycjami na popieranie prac naukowych za granicą. My zaś musimy trzymać się zasady „wedle stawu grobla”. Jeśli w artykułach dyskusyjnych stwierdza się, że państwo prawdopodobnie nie będzie mogło przeznaczać na naukę większych sum od dotychczasowych, a mimo to proponuje się utworzenie nowych placówek naukowych, to nie trzeba znów być uprzedzonym, aby móc stwierdzić, że tego rodzaju pociągnięcie przyniosłoby więcej szkody niż korzyści.

Padły też słowa o „inflacji” szkół akademickich. Szkoły akade-

mickie wraz ze swoimi laboratoriami i zakładami naukowymi trwają po założeniu setki lat i rzadki jest w dziejach przypadek likwidacji uniwersytetu. Natomiast innego rodzaju instytucje badawczo-naukowe bardzo często krótki tylko posiadają żywot. *Vita brevis, ars longa*. Gdyby nie kataklizmy dziejowe, poszczególne ogniska naukowe trwałyby na pewno nie setki, ale tysiące lat. Stacje badawcze, powołane do życia głównie na skutek wymogów życia praktycznego, zamierają po krótszym lub dłuższym istnieniu. Uniwersytety zaś, mimo ciężkich po burz dziejowych, odradzają się niby feniks nawet z popiołów, swoim trwaniem i odradzaniem się dając świadectwo triumfowi idei, która je ożywia. Uniwersytety dają gwarancję, że nawet bez jakiegokolwiek podniecia z czyjejkolwiek strony będą naukę uprawiać i pielęgnować. Tymczasem proponując tworzenie nowych instytutów badawczo-naukowych już dziś się stwierdza, że niektóre z istniejących nawet placówek tego rodzaju powinny dać przejawy pracy twórczej w nauce.

Każda nowa szkoła akademicka, w szczególności każdy nowy uniwersytet, to wielki sukces dla nauki polskiej, to przysporzenie szeregu nowych, trwale pracujących zakładów naukowych, i szeregu nowych placówek, na których wiele nowych sił naukowych może oddać się idealnie pojętej pracy badawczej. Jeśli jednak poziomowi przedwojennych polskich uniwersytetów nie można było postawić zarzutów, to ilością istniejących wszechnic w latach 1920—1939 odbijała Polska niekorzystnie w sposób rażący od swoich sąsiadów i innych krajów europejskich. Niech świadczy o tym poniższe, niekompletne zestawienie stosunków przedwojennych.

Nazwa państwa	Liczba ludn. w milionach	Ilość uniwersytetów	Jeden uniwersytet przypadał na
Polska	35	5	7 milj. mieszkańców
Czechosłowacja	17	4	4,2 " "
Rumunia	19	4	4,8 " "
Litwa	2,5	1	2,5 " "
Estonia	1,1	2	0,5 " "
Grecja	7	2	3,5 " "
Jugosławia	15	4	3,8 " "
Szwajcaria	4,1	7	0,6 " "
Włochy	42	31	1,4 " "
Szwecja	6	3	2 " "
Hiszpania	24	11	2,2 " "
Zjedn. Królestwo	47	17	2,8 " "
Niemcy	66	23	2,9 " "
Finlandia	3,7	2	1,8 " "

Dziś, na skutek powołania do życia nowych uniwersytetów, stosunek ten zmienił się na lepsze. Przy 24 milionach mieszkańców i 7 czynnych uniwersytetach (Warszawa, Kraków, Toruń, Lublin, Łódź, Poznań, Wrocław) doszliśmy w proporcji między ilością uniwersytetów a liczbą mieszkańców do stosunków panujących przed 1939 r. w krajach bałkańskich, ale jesteśmy jeszcze daleko poza proporcją Litwy, Finlandii i wielu innych krajów nie mówiąc już o Estonii i Szwajcarii, które zajmują uprzywilejowane stanowisko pod tym względem nie tylko w Europie, ale na całym świecie*. W tej sytuacji wszelkie mówienie o inflacji uniwersytetów jest wygłaszaniem nieprzemyślanych zdań, nie przynoszących na pewno nauce polskiej żadnych korzyści.

W trosce o zapewnienie polskim uniwersytetom odpowiedniego poziomu widzi się niebezpieczeństwo w „nagłym i szybkim” wzroście liczby wszechnic w stosunku do ich ilości poprzedniej. Podobnym zresztą argumentem szermowano i po roku 1920, kiedy z dwu przed wojną czynnych uniwersytetów w Krakowie i Lwowie stan posiadania wzrósł o trzy dalsze, gdyż przybył uniwersytet w Warszawie, Wilnie i Poznaniu. I wówczas obawiano się obniżenia poziomu uniwersytetów polskich, gdyż siłami, pracującymi na dwu uniwersytetach, należało wypełnić mury pięciu. A jednak obawy te okazały się niesłuszne, wszelkie trudności zostały pokonane i w ostatnich latach przed wojną uniwersytety nasze pracowały normalnie, osiągając wysoki poziom.

Czy dziś, gdy stan posiadania wzrasta z pięciu uniwersytetów do siedmiu, sytuacja ma być gorsza? Wprawdzie nauka polska poniosła duże straty osobowe, ale podobne straty były i w latach 1914—1920. Natomiast przeciętna liczba sił naukowych, którą rozporządzał każdy uniwersytet polski przed 1939 r., była znacznie większa od przeciętnej liczby naukowców, pracujących na uniwersytecie polskim przed 1914 r. Przez ten czas bowiem przybyły i na dawnych uniwersytetach liczne nowe katedry profesorskie i liczne nowe etaty asystenckie, wzrosła też znacznie liczba naukowców, pracujących poza uniwersytetami. Istniejące trudności w obsadzie katedr siedmiu czynnych dziś uniwersytetów — zdaniem moim — dadzą się pokonać, tak jak je pokonano po 1920 r., i prawdopodobnie pokona się je w stosunkowo krótszym czasie.

* Autor, mówiąc tylko o uniwersytetach państwowych, nie uwzględnił katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Biorąc go pod uwagę otrzymujemy cyfrę 8 uniwersytetów na 24 miliony ludności, a więc stosunek lepszy niż w Grecji, Jugosławii, Czechosłowacji i Rumunii, i bliski stosunkom dla Królestwa Zjednoczonego i Niemiec. (Red.)

Na jeden jeszcze moment trzeba zwrócić uwagę. Wzrost liczby uniwersytetów, przy równoczesnym zmniejszeniu powierzchni państwa, spowodował zagęszczenie sieci ognisk nauki. Na rdzennych, centralnych ziemiach naszych powstały trzy nowe uniwersytety. Lublin, Łódź i Toruń na skutek tego mogą waleńie zaważyć w historii kultury narodowej.

Zagęszczenie uniwersytetów daje z jednej strony młodzieży łatwiejszy dostęp do źródeł wiedzy, z drugiej zaś łatwiejsze będzie promieniowanie nauki i kultury na prowincję. Zniknie też istniejąca przed 1939 rokiem zhora przepelnienia uniwersytetów. Pamiętamy wszak dobrze te walki, które toczono niejednokrotnie nie tylko o miejsce w pracowni, ale także i o miejsce na sali wykładowej. Ze zwiększeniem ilości uniwersytetów pracować będą one po pewnym wstępnym okresie normalniej, na skutek mniejszej przeciętnie liczby studentów, przypadających na nie, praca więc będzie lepsza i pożyteczniejsza.

Uniwersytety, mając zapewniony stały dopływ młodzieży studiującej, mają też zapewniony stały dopływ nowych, młodych sił naukowych, wśród których w dodatku dokonuje się jeszcze nieprzerwana selekcja, trwająca nawet w okresie po uzyskaniu przez młodych naukowców wyższych stopni naukowych. Instytucje zaś naukowo-badawcze, pracujące w oderwaniu od uczelni akademickich, skazane są od początku na uwiad starczy na skutek braku dopływu młodego narybku. Werbowanie tego narybku, drogą udzielania stypendiów młodzieży studiującej, która w zamian za stypendia zobowiązać się ma do pracy naukowej w owych instytucjach, byłoby eksperymentem o słabych tylko rezultatach. Wszak tylko w wyjątkowych przypadkach można z góry predestynować tego czy owego studenta do kariery naukowej, w większości zaś przypadków owe przewidywania zawodzą. Wszak niejeden i po doktoracie odpada z szeregu czynnych pracowników naukowych.

Najbardziej więc życiowym pociągnięciem będzie tworzenie nowych potrzebnych placówek naukowych przy uczelniach akademickich. Placówki te, które by zaspakajały bieżące potrzeby życia państwowego, byłyby nawet cennym uzupełnieniem istniejących już zakładów naukowych, byłyby też warsztatami, przy których młodzi próbowaliby swoich sił, kierowani wytrawną ręką profesora. W ten sposób najoszczędniej rozporządziłoby się siłami ludzkimi, w ten sposób najoszczędniej gospodarzyłoby się i środkami finansowymi i ma-

terialnymi. Odpadłaby konieczność podwójnego tworzenia czy uzupełniania bibliotek i laboratoriów — z jednej strony (dla uczelni wyższych, które ich bezwzględnie do swego funkcjonowania wymagają, z drugiej strony dla stacji badawczych, które bez nich także istnieć nie mogą.

ZAKŁAD GEOGRAFII UNIwersYTETU M. C. S., LUBLIN

JÓZEF PARNAS

Przyczynek do dyskusji na temat organizacji nauki polskiej

WOJNA, która skończyła się zwycięstwem narodów zjednoczonych, wojna totalna, której front sięgał do życia każdego obywatela i do każdego warsztatu pracy, podniosła wysoko znaczenie i autorytet nauki. W tragicznych momentach tych potężnych zmagających wzywano niejednokrotnie uczonych do udzielenia pomocy frontowi. Pomoc ta przychodziła i pomoc ta zadecydowała o zwycięstwie. Niejednokrotnie ludzie rządzący zwyciężskimi mocarstwami wyrażali uczonym swe najwyższe uznanie. Polscy uczeni pracowali dla wszystkich frontów narodów zjednoczonych. W okupowanym kraju odbywało się tragiczne tępienie nauki polskiej, jedna z największych klęsk narodowych, jaką nam zadali hitlerowcy, o której ani nam ani pokoleniom następnym zapomnieć nie wolno. Niemcom udało się spowodować całkowite spustoszenie warsztatów pracy polskich uczonych. I jeśli dziś mimo to nasi uczeni stoją przy swych warsztatach niezłomnie, niezależnie od wieku i przeżyć, to możemy być pewni, iż nasze kielkujące życie naukowe jest początkiem wielkiego rozkwitu nauki polskiej i słowiańskiej.

Nasi uczeni ramię w ramię z sojusznikami zwyciężyli w wojnie. A teraz stoi przed nami zadanie zwycięstwa w odbudowie kraju. Odbudowa — główne zagadnienie regeneracji życia narodowego — nie uda się i nie może być szybko dokonana bez największej pomocy nauki; odbudowa i nauka, to dwa warunki przyniesienia ulgi i szczęścia tragicznie znękanemu narodowi. I dlatego organizacja nauki w Polsce musi się stać zagadnieniem naczelnym władz państwowych i społeczeństwa. Uczeni i ich warsztaty pracy muszą znaleźć szczególną i wyjątkową opiekę i pomoc ze strony rządu i społeczeństwa.

tym bardziej, że i uczonych i warsztatów ich pracy zostało w Polsce tak mało. Masy ludowe Polski znane są ze swego szacunku dla nauki i niewątpliwie niczego nie oszczędzą dla jej popierania i rozwoju. To samo możemy powiedzieć o rządzie. Trzeba tylko stworzyć warunki, w jakich by ta pomoc była racjonalna i szybka.

Styczniowa konferencja krakowska poświęcona zagadnieniom organizacji nauki, daje początek akcji stworzenia tych warunków o jakich wspominam. Szkoda tylko, że nie poprzedzono jej rozesłaniem programów dyskusyjnych do wszystkich ośrodków uniwersyteckich i naukowo-badawczych w kraju; gdyby tak było, wtedy poszczególne ośrodki miałyby możność przedyskutowania problemów, delegaci zaś tych ośrodków reprezentowaliby wtedy stanowisko nie swoje albo ograniczonej grupy ludzi, lecz stanowisko sprecyzowane przez wszystkich uczonych danego ośrodka. Na przyszłość należało by takie postępowanie wprowadzić jako zasadę demokracji życia naukowego.

Konferencja krakowska dała wiele materiału, ale nie dała jeszcze wszystkiego. Rekonstrukcję i organizację naszego życia naukowego należało by rozpocząć od ustalenia norm życia uniwersyteckiego. Autonomia uniwersytecka, działalność rad wydziałowych i senatu, to urządzenia piękne i demokratyczne nawskroś, ale tylko wtedy, gdy nie są nadużywane do celów innych. Konkretne przykłady: jeśli rada wydziału w oparciu o autonomię broni się przed przyjęciem do grona profesorów czy asystentów ludzi posiadających dostateczne kwalifikacje naukowe, ale różniących się swą rasą lub ideologią, to zachodzi nieumienne zastosowanie autonomii. I dlatego też w chwili obecnej należałoby sprawę przyjmowania asystentów oraz obsadzania katedr prze prowadzać wyłącznie na podstawie konkursów, przy czym Ministerstwo Oświaty i Państwowa Rada Naukowa muszą mieć zapewnione prawa kontroli personalnej. Również konkurs pod taką samą kontrolą winien rozstrzygać o wyjazdach za granicę i nagrodach naukowych.

Nie można również w chwili obecnej, kiedy straciliśmy dwa uniwersytety za Bugiem, a budujemy nowe, stawiać na stanowisku bezwzględnej nienaruszalności profesora, uniemożliwiającej jego przeniesienie. Państwowa Rada Naukowa, jeśli chce spełnić swą wielką rolę konstruktywną, musi mieć możność takiej dyspozycji kadrami uczonych, aby zaspokoić potrzeby i wzmacniać personalnie wszystkie uniwersytety polskie. Na przykład w Lublinie podkreślamy wielkie znaczenie Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej dla odbudowy ziem między Bugiem a Wisłą i dlatego uważamy za niedopuszczalne samowolne opuszczanie katedr, a wprost przeciwnie, wysuwamy tezę o ko-

nieczności wzmocnienia naszego składu personalnego przez przeniesienie do U.M.C.S profesorów z innych uczelni. To jest moje osobiste zapatrywanie. Chwila obecna wymaga nie tylko wyżej wymienionej pomocy od rządu i społeczeństwa, ale pewnej dyscypliny pracy uczonych, dobrowolnie podporządkowujących się woli naszego areopagu Państwowej Rady Naukowej. Dalszą sprawą, to kształcenie młodego pokolenia uczonych. Jeśli będziemy przyjmować asystentów drogą konkursu, to oczywiście pracy ich nie można traktować jako pracy ubocznej czy też sposobu przetrwania w takiej czy innej formie.

Asystent musi być kształcony z całą świadomością na przyszłego uczonego, docenta, czy profesora. Nasuwa się zatem potrzeba opracowania programu kształcenia asystentów tak ułożonego, aby dał w wyniku kilkuletniej pracy człowieka wyspecjalizowanego, człowieka zapoznanego z metodyką badań naukowych i z pracą dydaktyczną. Nie może tu być dowolności ze strony kierowników katedr. Program opracowany przez Radę Naukową musi być w każdym zakładzie ściśle przestrzegany, sprawdzianem zaś tej edukacji ma być egzamin asystencki, który należałoby wprowadzić jako pewne uzupełnienie egzaminu doktorskiego. Nauka nasza wymaga obecnie wielu młodych sił i dlatego całą sprawę należy ująć w karby programowe. W programie edukacji asystenckiej należało by uwzględnić pracę dokorską i wyjazd do zakładów wzorowych kraju i zagranicy. Z drugiej strony, tak pojęty asystent nie może być pracownikiem mającym kontrakt jednoroczny, wtedy bowiem praca asystenta nie ma charakteru ciągłości i stabilizacji, koniecznych w zawodzie uczonego. Tak samo stosowana obecnie taktyka Ministerstwa Oświaty, polegająca na obniżce stopni służbowych asystentów, nawet długoletnich, szkodzi rozwiązaniu zagadnienia młodych uczonych. Należało by wciągnąć personel asystencki do współpracy naukowej i najlepszym urządzeniem jest zdaje się organizowanie raz lub dwa razy do roku w każdym uniwersytecie i między uniwersytetami sesji młodych uczonych, obejmujących referowanie prac naukowych młodszych i starszych asystentów, wolontariuszy i adiunktów. Nagradzanie prac naukowych tych ludzi jest dalszym bodźcem, skłaniającym ich do głębokiego zainteresowania się nauką. Problem asystencki ma dzisiaj doniosłe znaczenie i dlatego należy znieść taktykę personalną, polegającą na nadmiernym hamowaniu wzrostu aparatu asystenckiego. W tym zakresie Ministerstwo Oświaty powinno przyjąć inną drogę.

Dalszy problem, to habilitacje. Przewód habilitacyjny jest aktem najpoważniejszym w życiu pracownika naukowego. Należy go prze-

prowadzić z całą surowością prawa akademickiego. Komisja etyczna powinna również interesować się przeszłością społeczną kandydata w okresie okupacji. Ludzie, splamieni kolaboracją, nie mogą być habilitowani. Tak samo ludzie, działający świadomie i czynnie na szkodę demokracji, powinni być odrzucani. Jednakże należało by unikać taktyki, która zamyka drogę do habilitacji długoletnim pracownikom nauki, która zamyka drogę do habilitacji i należy dla docentów stwarzać warunki, godnym pod każdym względem tego aktu. Tak było przed wojną i to doprowadziło do wielkiego zubożenia naszych kadr uczonych. Należy dopuszczać do habilitacji i należy dla docentów stwarzać warsztaty pracy naukowej przy katedrach bez ograniczeń. Nigdy ich u nas nie będzie za dużo. Polityka etatów nie może być przenoszona z urzędu do uniwersytetu. Ciągłe pamiętajmy o tym, że oszczędności — owszem, że budżet musi być skąpo trzymany, ale że uniwersytetów państwowych w Polsce mamy tylko 7. Więc tu skąpić nie wolno, bo to grozi rozwojowi nauki polskiej. To samo odnosi się do profesorów. Jeśli na czele katedry i zakładu stoi profesor, to nie wynika z tego, żeby innym długoletnim docentom zamykać drogę do tytułu profesorskiego, do czasu śmierci kierownika zakładu. Obok kierownika może być dwóch i więcej profesorów pracujących naukowo i dydaktycznie z największym pożytkiem dla nauki i studentów. Szczególnie odnosi się to do klinik uniwersyteckich. Należy również znieść rozporządzenie o sakramentalnych 5 godzinach wykładów dla profesora. Tutaj reglamentacja winna być w ręku rady wydziału.

Zagadnienie następne, to sprawa technicznego wyposażenia laboratoriów pracy naukowej oraz dotacji i zaopatrzenia materialnego pracowników naukowych. Zagadnienie tak ważne, że pomijać go nie wolno. Nasze laboratoria są puste i skazują nas na niemoc naukową. Wszystkie wysiłki powinny iść w kierunku uzyskania pomocy z zagranicy i należy przy Radzie Naukowej stworzyć specjalną placówkę, która by, wyzyskując pomoc naszych przedstawicielstw dyplomatycznych, organizowała konkretną i szybką pomoc dla zakładów uniwersyteckich, przy czym należało by utworzyć przy ambasadach stanowiska *attachés* naukowych, tak jak to jest w Moskwie (prof. Dembowski). Taka akcja, reprezentująca wszystkie dziedziny pracy naukowej i ich piekące potrzeby, mogłaby doprowadzić do szybkiego napływu materiałów laboratoryjnych i rewindykacji z Niemiec. Następnie niezależnie od tej akcji należało by zupełnie niewspółmiernie do dzisiejszej wysokości zwiększyć dotacje rządu dla uniwersytetów. W chwili obecnej, powiedzmy sobie otwarcie, mowy nie ma o wyjściu ze stanu wegetacji naukowej dopóki katedra otrzymuje jako dotację miesięczną

kilka tysięcy złotych. Nie wiadomo co najpierw kupować — czy materiał do ćwiczeń studenckich, czy materiał do badań naukowych, czy książki i aparaty. Na to wszystko katedra potrzebuje około 50.000 zł. miesięcznie, żeby rozwijała się i powoli, z miesiąca na miesiąc, uzupełniała swoje braki.

Te rozważania wprowadzają nas w zakres możliwości finansowych Ministerstwa Oświaty. Możliwości Ministerstwa, obciążonego szkolnictwem powszechnym, średnim i zawodowym, są małe. A tu trzeba wysunąć na plan pierwszy zagadnienia uniwersyteckie, i dlatego warto by się zastanowić, czy nie lepiej by było, aby szkoły wyższe miały budżet osobny, uwypuklający szczególne znaczenie życia naukowego. Następnie trzeba się bezwzględnie postarać, aby poszczególne wydziały uniwersyteckie mogły otrzymywać dodatkowe dotacje od innych ministerstw zainteresowanych, a więc wydziały lekarskie od Ministerstwa Zdrowia, wydziały prawne od Ministerstwa Sprawiedliwości, wydziały leśne od Ministerstwa Leśnictwa itd. Możliwości finansowe tych ministerstw są często duże i ich dotacje byłyby poważnym uzupełnieniem dotacji Ministerstwa Oświaty. Tak samo przy Radzie Naukowej należało by utworzyć biuro zaopatrzenia zakładów uniwersyteckich w materiały laboratoryjne, które dziś — kupowane na rynku prywatnym — są niedostępne. Miałoby ono możliwości otrzymywania przydziałów ze źródeł państwowych.

Zagadnienie uposażenia pracowników naukowych i лаборantów ma decydujące znaczenie dla rozwoju nauki. W chwili obecnej żaden z tych pracowników nie jest w stanie pracować spokojnie w laboratorium, troski materialne obniżają jego zdolności naukowo-twórcze, niedożywienie zaś i choroba czynią często pracownika naukowego zupełnie niezdolnym do wysiłku. Wielu uczonych zamiast oddać się spokojnej pracy laboratoryjnej, bądź uzupełniać luki, wywołane przez wojnę, albo pisać podręcznik — musi szukać ubocznych zarobków, które nie mając często nic wspólnego ze specjalnością naukową, zabijają talent twórczy. Jeśli zatem pragniemy doprowadzić do odrodzenia nauki polskiej, musimy czym prędzej zająć się bytem materialnym pracowników naukowych i wzorem zagranicy, szczególnie Ameryki i Związku Radzieckiego, winniśmy mimo wszystkie trudności materialne zapewnić minimum egzystencji uczonym polskim. Odnosi się to zarówno do zwiększenia pensji, jak do wprowadzenia większych dodatków funkcyjnych za kierownictwo katedry, egzaminy itd. Tak samo należy pracowników naukowych premiować. Przydziały żywnościowe, przyznane pracownikom naukowym przez Komitet Eko-

nomiczny Rady Ministrów, które są zresztą znacznie mniejsze od przydziałów dla urzędników ministerialnych, powinny być przestrzegane, i to regularnie, a nie zmniejszane, tak jak się to ciągle dzieje. I dlatego winniśmy również dążyć do stworzenia przy Państwowej Radzie Naukowej placówki zajmującej się warunkami życia materialnego uczonych. To zagadnienie podstawowe, bez którego nauki naprzód nie popchniemy.

Do pilnych spraw bieżących życia organizacyjnego uniwersytetów należy opracowanie programów nauczania, które w większości wypadków są przestarzałe. Na wielu wydziałach, zwłaszcza przyrodniczych, należałoby skrócić nieco czas studiów, redukując nadmiar teorii na korzyść praktyki, wprowadzając studentów już od I roku studiów w życie przyszłego zawodu (na medycynie do klinik i szpitali, na farmacji do aptek, na rolnictwie do gospodarstw rolnych). Konieczne są również przymusowe, urzędowo zorganizowane, mające również swój program dydaktyczny, praktyki wakacyjne po II, III i IV roku studiów. Wszystko to razem ma stworzyć lepszy typ fachowca, tak niezbędnego dzisiaj krajowi. I znowu Państwowa Rada Naukowa, zwłaszcza jej wydział programowy, powinna te rzeczy szybko ustalić, obecnie bowiem brak uregulowania ich stwarza kolizje między rzeczywistością a ustawą akademicką.

Mówi się dużo na temat uniwersytetów i instytutów naukowo-badawczych. Są poglądy skrajne. Jedni twierdzą, że uniwersytet ma się zajmować wyłącznie dydaktyką, instytuty zaś naukowo-badawcze pracą naukową. Inni twierdzą, że praca naukowa ma być tylko w uniwersytecie, i sprzeciwiają się organizowaniu instytutów. I jedni i drudzy nie mają zdaje się racji. Nie ulega wątpliwości, że uniwersytet jest powołany do tego, aby koncentrować w swoich zakładach naukę i dydaktykę; tu mają się wychowywać kadry pracowników naukowych dla instytutów. I dlatego wszelka myśl o redukcji pracy naukowej w uniwersytetach jest groźna. I dlatego też nie wolno skąpić ani Ministerstwu Oświaty, ani innym zainteresowanym w pracy naukowej ministerstwom w przydzielaniu subwencji na zakłady naukowe uniwersytetów i politechnik. Tak samo ministerstwa powinny najszerzej korzystać z ośrodków naukowych uniwersytetów, zlecając im do wykonania aktualne tematy naukowe i przyznając specjalne subwencje na ten cel. I to trzeba dodać, że warunkiem wysokiego poziomu prac naukowych jest dostatni personel zakładu, zarówno naukowy jak techniczny. Mają rację ci, którzy przestrzegają przed tworzeniem nowych instytutów naukowo-badawczych, dopóki brak w Polsce sił

naukowych. Ale najważniejszym zagadnieniem jest pytanie, kto ma kierować pracą instytutów naukowo-badawczych, kto ma koordynować tematykę badań oraz kontrolować ich wykonanie. Jak dotąd, poszczególne instytuty podlegają swoim ministrom i chociaż statuty ich mówią o tym, że dyrektor instytutu oraz kierownicy wydziałów muszą posiadać kwalifikacje naukowo-twórcze (habilitacje), życiem zaś naukowym instytutu winna kierować rada naukowa, do której zresztą powołuje się delegatów uniwersytetów, jednakże możemy dzisiaj stwierdzić, że niektóre instytuty naukowo-badawcze są kierowane przez ludzi niehabilitowanych, rady zaś naukowe jeszcze nie działają. Oczywiście tak pojęte i tak zorganizowane instytuty nie spełniają swojej roli naukowej i powinny być natychmiast zreformowane. Ponieważ ten czy inny minister nie jest zazwyczaj uczonym, nie może więc być jedynym organem nadzorczym nad instytutem. A trzeba dodać, że choć większość instytutów ma subwencje materialne większe aniżeli uniwersytety, korzyść z tych subwencji jest czasem minimalna. I tu wkraczamy w problem napewno bardzo drażliwy, który jednak pozwolę sobie podkreślić. Według mnie organizacją, która powinna kierować życiem naukowym instytutów badawczych i kontrolować to życie, a także koordynować tematykę badań naukowych planowanych przez nią i ważnych dla odbudowy kraju, jest Polska Akademia Umiejętności. Ta organizacja, tak zasłużona dla nauki polskiej, winna być dziś upaństwowiona, poddana kompetencji Ministra Oświaty lub Prezydium Rady Ministrów, rozszerzona w swym składzie i podzielona na odcinki poszczególnych nauk. Tak zorganizowanej Akademii, utrzymującej ścisły kontakt ze wszystkimi ministerstwami, powinny być podporządkowane wszystkie instytuty naukowo-badawcze. Sprawa to ważna i pilna dla racjonalnej organizacji życia naukowego w kraju.

Wspominaliśmy wyżej w kilku miejscach o Państwowej Radzie Naukowej. Wszyscy, zapewne bez wyjątku, powitaliśmy z radością jej powstanie. Niestety, dotąd mimo długiego okresu swego istnienia, Rada Naukowa nie rozwiązała najbardziej palących problemów. Należało by wprowadzić w skład Rady uczonych reprezentujących wszystkie nauki w Polsce, po prostu wszystkie wydziały uniwersyteckie i politechniczne oraz instytuty naukowo-badawcze. Udział wszystkich przedstawicieli jest konieczny. Państwowa Rada Naukowa winna ożywić swoją działalność, zbierając się często i regularnie, oraz posiadać swoje stale działające wydziały. Takie byłyby najważniejsze problemy życia naukowego w Polsce, które wymagają dalszej dyskusji i szybkiego rozwiązania.

SYLWIUSZ MIKUCKI

O dyplomatyce

WYKUWAJĄC w trudzie i znoju dnia powszedniego rzeczywistość dzisiejszą kładziemy równocześnie fundamenty pod dobro lub zło dni przyszłych, tak jak nasze dzisiaj nie jest bez genealogii, ale korzeniami swymi tkwi w przeszłości. Życie narodu i państwa można by porównać do łańcucha w którym każde pokolenie stanowi wprawdzie odrębne ogniwo, ale równocześnie wyrasta z przeszłości i wrasta w przyszłość. To zazębianie się teraźniejszości z tym, co minęło, i z tym, co nadejdzie, sprawia, że łańcuch tworzy nierozzerwalną całość. Lecz to zazębianie się nakłada na każde pokolenie wielką odpowiedzialność za teraźniejszy i przyszły stan i los narodu i państwa. Ciężar ten nabiera szczególnego gatunku w państwie o ustroju prawdziwie demokratycznym, w którym wszyscy są powołani do twórczego udziału w życiu politycznym. Stąd brzemień odpowiedzialności spoczywa nie na pewnej grupie czy warstwie, ale na wszystkich. Wynika z tego konieczność, aby wszyscy — bez względu na wykształcenie i stanowisko — wyrobili sobie głęboki, rzeczowo uzasadniony pogląd na całokształt potrzeb życia narodowego i państwowego, by zrozumieć, w czym leży istota społeczeństwa i państwa, i w ten sposób zdobyli takie polityczne uświadomienie, które by pozwoliło im na czynny, pełen poczucia odpowiedzialności udział w kształtowaniu losów ojczyzny.

Ten stopień dojrzałości politycznej powstać może tylko na gruncie myślenia historycznego, które rodzi się z uświadomienia sobie w całej pełni tej podstawowej prawdy, że prawdziwe zrozumienie i słuszna ocena teraźniejszości może wypłynąć tylko z poznania przeszłości. Bez myślenia historycznego, bez zdawania sobie stale sprawy z silnej, nierozzerwalnej więzi między teraźniejszością a przeszłością i przyszłością, nie ma jednostek i społeczeństw politycznie wyrobionych i świadomych poczucia odpowiedzialności. Stąd szerzenie i pogłębianie wiedzy historycznej i nauk z nią związanych jest dzisiaj jedną z pilnych potrzeb chwili. Konieczne jest zwłaszcza zapoznanie szerokiego ogółu z tymi naukami historycznymi, które, z natury rzeczy w niedostatecznym tylko stopniu uwzględniane w tzw. ogólnym wykształceniu, są dla społeczeństwa odległe i mało zrozumiałe, mimo że w zakresie poznania historycznego posiadają niepoślednie znaczenie. Taką jest cała dziedzina nauk pomocniczych historii, a wśród nich jedna z najważniejszych, dyplomatyka. Już sama jej nazwa wywołuje

często nieporozumienia, polegające na pomieszaniu dyplomatyki z dyplomacją. A tymczasem dwa te pojęcia, choć bliskie sobie brzmieniem, zawierają treść różną. Dyplomacja, to oparta na wykształceniu historycznym i prawnym znajomość zagadnień polityki zagranicznej i umiejętność prowadzenia jej. Dyplomatyka, to nauka pomocnicza historii. Jej powstaniu, przedmiotowi badań, jej rozwojowi, zdobyciom i znaczeniu w obrębie nauk historycznych poświęcone są dalsze uwagi.

Dzieje ludzkości poznajemy i odtwarzamy na podstawie źródeł historycznych. Wśród źródeł tych jedną z najważniejszych grup materiału badawczego są dokumenty. Klucz do odcyfrowania treści tych cieżgodnych, pierwotnie przeważnie na papirusie, później na pergaminie, rzadziej na papierze, spisanych pomników odległych epok i pokoleń daje nam paleografia. W pełni jednak zrozumieć i ocenić dokument jako źródło historyczne w najszerszym tego słowa znaczeniu pozwala dopiero dyplomatyka.

Jak wiele innych nauk, tak i dyplomatyka zrodziła się przede wszystkim z potrzeb praktycznych — z konieczności oceny autentyczności dokumentu, przedstawionego w sporze jako środek dowodowy. Pewne ślady jakby początków badania dyplomatycznego spotykamy już w wiekach średnich przy sposobności krytyki dokumentów przedłożonych albo do zatwierdzenia, albo w charakterze dowodu w przewodzie sądowym. Jednakże dopiero benedyktyn francuski Dom Mabillon, działający w drugiej połowie XVII i w pierwszych latach XVIII w., położył podwaliny pod powstanie dyplomatyki jako nauki w swoim wspaniałym dziele *De re diplomatica libri sex*, wydanym w r. 1681.

Mabillon określił dyplomatykę jako *ars discernendi vera et falsa diplomata*, jako umiejętność rozróżniania dokumentów autentycznych i falsyfikatów. I rzeczywiście, ten wynik badania dyplomatycznego jest ciągle, także i dzisiaj, dla każdego historyka praktycznie najważniejszy. Historyk, chcąc oprzeć się na dokumencie jako źródle historycznym, musi wiedzieć z absolutną pewnością, czy może mu wierzyć w całości i budować na nim jako na zupełnie wiarygodnym, nie budzącym żadnych wątpliwości fundamencie, czy też ma przekazać dokumentu albo w całości odrzucić, albo ograniczyć tylko do tych danych, których wiarygodność i prawdziwość została niezbicie stwierdzona. Bez pracy przygotowawczej dyplomatyka, czyli bez krytyki i interpretacji dokumentów, gmach historii byłby budowany na bardzo kruchych i chwiejnych podstawach. Zawsze bowiem istniałaby obawa, że prawda i fałsz tak się spleją w przedstawianiu minionych epok, ludzi i wypadków, iż trudno będzie ostatecznie odróżnić elementy rzeczy-

wiecie pewne od tego, co niepewne lub zgoła fałszywe. W ten sposób historia straciłaby swój istotny sens i cel — przestałaby być nauką o przeszłości takiej, jaką rzeczywiście była, a stałaby się złudnym urojeniem. Zyskałaby może więcej barw i wyrazu, ale wyzbrałaby się swojej rzeczywistej treści — prawdy.

Wnet jednak dyplomatyka, nie tracąc z oczu swego zasadniczego celu, który co dopiero został wyłożony, usamodzieliła się w znacznym stopniu i, doskonaląc coraz bardziej metody i sposoby badania dokumentów, sięgnęła znacznie głębiej i dalej. Dziś dyplomatyka pragnie nie tylko odpowiedzieć na pytanie, czy dokument jest autentyczny czy sfałszowany, ale, jeżeli stwierdzi fałszerstwo, pragnie wyjaśnić, czy dokument jest w całości fałsyfikatem, czy tylko w pewnej części uległ sfałszowaniu, dalej kto, kiedy, w jakich okolicznościach i w jakim celu dokonał fałszerstwa. Jeżeli zaś stwierdzi autentyczność dokumentu, nie zadowala się tym dzisiaj już najskromniejszym, choć — jak zaznaczono — praktycznie najważniejszym wynikiem badania. Dyplomatyka współczesna dąży do odpowiedzi na szereg pytań, wykraczających daleko poza granice poznania, zakresłone jej przez Mabillona. Chce ona zbadać i wyjaśnić, w jaki sposób powstał dokument, kto ułożył jego treść a kto dał tej treści szatę pisemną, w jaki sposób przy tym postępowano, jakimi wzorami czy materiałami pomocniczymi posługiwano się, jaki był udział i stosunek poszczególnych osób w powstawaniu dokumentu, jakie znaczenie mają i z czym wiążą się świadkowie i data dokumentu, jaki był tok pracy i jaka organizacja kancelarii, z której dokument pochodzi, jaka była wartość dokumentu w życiu prawnym epoki, jakie było jego znaczenie przy dokonaniu czynności prawnej i jaka moc dowodowa w postępowaniu sądowym. Pojmując dokument jako zjawisko przede wszystkim kulturalne i wiążąc go z całością życia umysłowego, pojęć i instytucji prawa publicznego i prywatnego pewnego środowiska, chce dyplomatyka dalej znaleźć odpowiedź na pytanie, czy dokument wyrósł w drodze organicznej ewolucji z potrzeb życia ówczesnego społeczeństwa i jest tego życia samorodnym produktem i logicznym wynikiem, czy też jest elementem obcym, owocem recepcji cudzych wzorów, przejętym w gotowej postaci z zewnątrz i stąd nie szarmonizowanym z całością pojęć i urządzeń społeczeństwa.

W ten sposób dyplomatyka każdego narodu przestaje być zakresem badania ściśle ograniczonym i zamkniętym w samym sobie. Z badania regionalnego nawet w najszerszym tego słowa znaczeniu staje się badaniem porównawczym, które w przedmiocie badanym śledzi rysy indywidualne na najszerszym tle wszystkich przejawów życia umy-

słowego, politycznego i społecznego, czyli na tle całokształtu kultury danego środowiska, ale równocześnie szuka najdalszych nawet związków kulturalnych poszczególnych środowisk i terytoriów cywilizacyjnych między sobą. Czasy, kiedy wolno było badanie dyplomatyczne ograniczyć tylko do pewnych pojedynczych dokumentów, przebrzmiały równie, jak minęły bezpowrotnie i te późniejsze poglądy, które zezwalały na zacieśnienie zakresu badania do pewnych grup dokumentów czy pewnych kompleksów terytorialnych. Dziś, wzbogaceni wspólnymi zdobyczami badań porównawczych, wiemy, że dokument rodzi się i rozwija zawsze i wszędzie jako wynik procesów złożonych, że wyrasta w pewnym środowisku nie tylko na gruncie kultury rodzimej, ale także pod wpływem tych podniet, wzorów i wpływów, które przychodzą z zewnątrz. Wykrycie tych procesów rozwojowych i śledzenie ich przebiegu, ustalenie różnorodnych elementów i ocena ich wzajemnego stosunku, to również jedno z ważnych zadań nowoczesnego badania dyplomatycznego.

Widzimy więc, że cele dzisiejszej dyplomatyki wyszły daleko poza to zadanie, jakie jej zostało wyznaczone w chwili narodzin. Nie przestając być nauką pomocniczą historii, skromną służką wielkiego dzieła rekonstrukcji przeszłości, wytknęła sobie dyplomatyka własne cele, stworzyła własne metody badania i w ten sposób usamodzielniała się w znacznym stopniu jako odrębna nauka. Całą długą przebytą drogę uzmysłowi nam najlepiej porównanie dwu definicji dyplomatyki — definicji Mabillona, według której dyplomatyka to *ars discernendi vera et falsa diplomata*, i definicji nowoczesnej, upatrującej istotę badania dyplomatycznego w wykryciu znaczenia pisma w życiu prawnym społeczeństwa.

ZAKŁAD NAUK POMOCNICZYCH HISTORII U. J., KRAKÓW

EUGENIUSZ BRZEZICKI

O potrzebie rozszerzenia typologii Kretschmera

NIE ULEGA najmniejszej wątpliwości, że każdy człowiek jest indywidualnością niepowtarzalną i że nie ma drugiego, który by był identyczny z nim pod względem zarówno cielesnym jak duchowym. Mimo to od wieków starano się stworzyć pewien podział typologiczny, w którym by się mieściły wszystkie ludzkie temperamenty i charak-

tery. Już w czasach helleniskich powstał ogólnie znany i ceniony podział Hipokratesa, który wprawdzie w świetle charakterologii nowożytnej okazał się nie wystarczający, lecz nawet dziś, po uzupełnieniu go, mógłby nam służyć za doskonały pierwowzór podziału temperamentów. Wydaje się bowiem wysoce prawdopodobne, że np. typ flegmatyczny o reakcji uczuciowej słabej i nietrwałej, to typ często spotykany wśród schizotypików, typ zaś choleryczny o reakcji uczuciowej silnej i trwałej również wśród schizotypików, ale i wśród wiskozyjnych. Typ melancholiczny, opisany przez Hipokratesa, o słabej, ale trwałej reakcji uczuciowej, to depresywny cyklotypik, który jednak nie może znaleźć przeciwwagi w typie sangwinicznym, jakby się zdawało, posiadającym reakcję uczuciową silną ale nietrwałą, natomiast mógłby być przeciwstawieniem nowostworzonego typu hypomaniakalnego czy — jak go można inaczej nazwać — euforycznego, o reakcji uczuciowej trwałej i silnej, odpowiadającej drugiemu biegunowi cyklotypika. Wobec tego typ sangwiniczny trudno by było zmieścić w granicach typologii Kretschmerowskiej, która zresztą ujmuje zagadnienie temperamentu z innej strony, pod innym względem. Powrócimy zresztą do tej sprawy, opisując nowy, wydzielony przeze mnie typ, który pokrywa się do pewnego stopnia z typem sangwinicznym.

Dla mnie jako dla psychiatry jest rzeczą specjalnie ciekawą, że podziały stworzone przez psychologów nie utrzymały się, natomiast typologie wprowadzone przez psychiatrów zdobyły w nauce obywatelstwo. I tak np. typologie Diltheya czy Sprangera, które przedstawiają ciekawe ale idealne typy konstruktywne, nie mają empirycznego poparcia. Typy Ribota oraz jego naśladowcy Müllera-Freienfelsa rzeczywiście istnieją i spotyka się je w życiu, nie stoją jednak ze sobą w rzeczywistym związku. Typy Weiningera, choć przez pewien czas w rzeczywistości modne dzięki swojej seksualnej podbudowie, mają tylko historyczne znaczenie. Natomiast typy psychiatry Junga, ekstrawertywne i introwertywne, są dotąd uznawane i mają swoich zwolenników. Dynamiczne ujęcie tych typów jest w zgodzie z nowoczesnymi tendencjami w charakterologii, która musi się opierać na typach psychopatologicznych, aby odpowiadać rzeczywistości. Tak samo genialna w swoim rodzaju typologia Kretschmera wyszła z psychopatologii i jest dziełem psychiatry. A ponieważ opiera się na dwóch głównych psychozach endogennych, na kręgach cyklofrenicznych i schizofrenicznych, przeto nic dziwnego, że Kretschmer zasadniczo podzielił ludzkość na dwie grupy, cyklotypików i schizotypików. Większość

Europejczyków można zmieścić w tych podstawowych dwu typach, jest bowiem rzeczą prawdopodobną, że typy schizotymiczne i cyklotymiczne wyczerpują większość tej części ludzkości, która wykazuje określone biologiczne i duchowe linie kierunkowe.

Jednak swą pierwotną konstrukcję rozbił sam Kretschmer, dołączając ostatnio do dwóch podstawowych typów typ wiskozyjno-epileptoidalny jako typ trzeci. Od tego właśnie czasu zacząłem powątpiewać w zupełności typologii Kretschmera. Poza tym moja przynależność do Słowian i moje długoletnie przebywanie z przedstawicielami narodów romańskich pozwoliły mi na wyłuskanie pewnych cech, które nie występują w typach Kretschmera, opracowanych wyłącznie na materiale niemieckim, a więc germańskim. I choć w typologii ogólnoludzkiej czynnik rasowy nie powinien odgrywać roli jako nieistotny, mimo to moje wątpliwości powstały właśnie na podstawie pewnej bezsprzecznej różnicy temperamentów między narodami germańskimi z jednej strony, a romańskimi i słowiańskimi z drugiej. Zdaje mi się także, że różnica zapatrywań, jaka istnieje w sprawie typologii konstytucjonalnej między psychiatrami a psychologami, jest nie tylko zrozumiała, ale i konieczna. Wiadomo bowiem, że psychiatrzy uważają na ogół typologię konstytucjonalną za jasną i celową, psychologowie natomiast przyjmują ją z pewnymi zastrzeżeniami, ponieważ ma ogólną orientację psychopatologiczną, czego psychologia na ogół unika. Psychiatrzy z racji swego zawodu doszukują się w każdym prawie normalnym człowieku pewnych cech psychopatycznych, a psychologowie, co już nieraz zauważyłem, nie widzą ich czy nie umieją widzieć nawet w wyraźnie patologicznych typach. Dlatego też do przeciętnego człowieka starają się przykładać miarę ogólnopsychologiczną, nie szukając odchyłeń psychopatologicznych. Kretschmer, wychodząc z badań nad umysłowo chorymi, stworzył typologię kierunkową z wytyczną na schizofrenię lub cyklofrenię. Mam wrażenie, że nie przesadzam sprawy, uważając psychiatryczny punkt widzenia za słuszny i zgodny z życiem. Obecne bowiem życie wykazuje wyraźnie, że większość ludzi, popychających koło historii w pewnym dla nas nieodgadnionym jeszcze kierunku, to typy charakterologicznie i typologicznie zdecydowane, a nie bezbarwni osobnicy „ponadtypowi”. Biorąc jednak ludzi *en masse*, przyznaję oczywiście, że znam wielu takich, dla których byłoby mi trudno znaleźć typologiczną etykietkę. Są to jednak ludzie przeciętni, ponad przeciętność nie wyrastający. Dla tych, którzy nie mają „swego oblicza”, mimo że mogą być ludźmi bardzo porządnymi, dla tych typów tak

silnie zbastardyzowanych, że reagują zawsze inaczej lub reagują w jednych sprawach w sposób typowy, w innych zaś nie, należy stworzyć moim zdaniem osobną „przedgrupę”, obierając najwyraźniejszą cechę typologiczną za drogowskaz. Dlatego w swych pracach wysuwam koncepcję typów *syntymicznie-schizotymicznych* lub *syntymicznie-cyklotymicznych*, zaliczając do nich ludzi, których może trudno jest sklasyfikować z powodu ich niezbyt wyraźnych typologiczno-charakterologicznych linii kierunkowych, u których jednak niektóre ich cechy wskazywałyby na pewne niezbyt wyraźne typologiczne tendencje witalne. Zgodnie z tym stanowiskiem przed typami cyklotymicznymi i cykloidami oraz schizotymicznymi i schizoidami, a więc przed grupami najbardziej podstawowymi, należy umieścić przedgrupę ludzi o niewyraźnym typologicznym obliczu, których nazywam na razie *syntymikami*. Tych, u których cechy cielesne czy też duchowe wskazywałyby na łączność z grupą schizotymiczną, nazywałbym syntymicznymi schizotymikami, a tych, którzy by raczej zbliżali się do grupy cyklotymicznej, nazwałbym syntymicznymi cyklotymikami. Nawiasem mówiąc, słowo cyklotymik wydaje mi się niezbyt szczęśliwe i nie ujmujące istoty tego typu. Jest jednak już tak rozpowszechnione, że musimy się z nim pogodzić, wprowadzając pewne poprawki. Wiemy bowiem dokładnie, że oprócz ludzi, którzy wykazują rzeczywiste cykliczne fazy smutku i wesołości lub cykliczne fazy samego smutku lub samego hypomaniakalnego podniecenia, możemy napotkać ludzi, których cechą witalną jest stała euforia, a więc stan stałej wesołości, którą nieszczęścia i przeciwności życiowe tylko na krótką chwilę mogą zgasić w ich duszach. Są to konstytucjonalni euforycy, typy jeszcze normalne, lub konstytucjonalni hypomaniacy, typy już psychopatyczne. Przez euforię rozumiem stan (stałego w tym wypadku) wzmożonego samopoczucia z wesołością, nie zaś drażliwości i pewnego niepokoju, który cechuje hypomaniaków konstytucjonalnych. Podobnie spotyka się także konstytucjonalnie smutnych, u których przez całe życie góruje uczucie smutku lub powagi bez cyklicznych wahań, a także konstytucjonalnie melancholijnych psychopatów, u których góruje smutne zahamowanie i niepewność z lekami. Ludzie ci bezsprzecznie należą do kręgu cyklotymicznego, mimo że nigdy nie wykazują cykliczności swych objawów witalnych. Kretschmer bardzo pięknie opisuje te typy ludzi zasadniczo uczciwych, porządných, prostych, realnie myślących i dobrze spełniających swe obowiązki. Uważam jednak, że należałoby je sklasyfikować i dla łatwiejszego porozumienia się przyklepić im diagnostyczne nalepki.

Przed wszystkim wszakże trzeba podkreślić, że cyklotymicy, to ludzie nie nerwowi, choć często wrażliwi. Ich egoizm, który istnieje bezsprzecznie, ma w sobie coś z dziecinnej naiwności: cyklotymik chętnie bierze, ale też i chętnie daje. Cyklotymicy nie znają napięcia uczuć, fanatyczności, zasadniczości i zastygłej konsekwencji. Podkreślić także należy, że lęki spotyka się we wszystkich grupach typologicznych, co dla mnie jest dowodem, iż lęk, to uczucie ogólnoludzkie, uczucie najgłębsze, najpierwotniejsze, najstarsze, starsze od wesołości. Lęk spotyka się u zwierząt, u których nie występuje jeszcze uczucie szczęścia. Jest to zresztą uczucie najpotężniejsze, mrozące każde uczucie szczęścia czy zadowolenia.

Cyklotymików podzielić by można na 6 grup. Na 1) właściwych syntoników: towarzyskich, dobroduszných, przyjaznych, uczuciowych (*gemütlich*); 2) euforyków: wesołych, pełnych humoru, żywych, gorączkujących się; 3) zadumanych: oichych, spokojnych, ocieężałych, miękkich; 4) zahamowanych: z uczuciem niedorównywania innym, z kompleksem niższości, nieswobodnych, płochliwych, z silnie zaznaczoną dominantą hyperprostoliniego sumienia (*super ego*). U tych ludzi wtórnice powstaje uczucie winy, winy irracjonalnej, spowodowanej często przez erotyczne poślizgnięcia się nieaprobowane przez zbyt prostolinijne sumienie; 5) zasmuconych: widzących stale wszystko w szarych kolorach, którzy nawet śmieją się przez łzy. Tacy pracownicy są cisi, nie wysuwający się naprzód, uczuciowi, poważni lub depresyjni, znakomici wykonawcy; 6) właściwych fazowców: indywidualności z chwiejnymi reakcjami uczuciowymi. Ludzie pogodni i towarzyscy, czynni wykonawcy, lub typy spokojne, uczuciowe, z tendencjami depresyjnymi, bierni wykonawcy. Typy pracownicze lub uczuciowe. O cyklodach, a więc psychopatach cyklodalnych, mówić tu nie będę.

W naszych warunkach typy te są rzadkie. Najczęściej spotykane mają domieszki schizotymiczne z nerwowością i napiętością uczuć. Natręctwa i wypływające z nich czynności przymusowe, choć należą, jak mi się zdaje, do osobnej grupy dziedzicznej, występują zarówno u cyklotymików jak w innych typach, choć najczęściej u schizotymików.

Podobnie i typy schizotymiczne, tak genialnie opisane przez Kretschmera, wykazują pewne wyraźne cechy typologiczne, różniące je między sobą, które należałoby wyróżnić i uporządkować. Dlatego gwoili łatwiejszego porozumiewania się proponuję pewne określenia i nazwy dla poszczególnych podtypów schizotymicznych, które, jak

sądzę, będą miały duże heurystyczne znaczenie. Ponieważ każdy schizotypik i schizoid wykazuje zawsze cechy autyzmu oraz swoistego przewrażliwienia pod pewnymi względami, niedowrażliwienia pod innymi, choć w ilościowo różnym stopniu, dzielę schizotypików i schizoidów na cztery podtypy. Typem bardzo często spotykanym w polskich warunkach jest 1) *schizotypik mimozowaty*. Osobnik taki, to raczej myśliciel niż czynny działacz. To człowiek planujący, teoretyzujący i marzący. Jest wrażliwy, przeculony, wysuwa jak ślimak ostrożnie swoje różki i cofa je za lada dotknięciem. Opanowany na zewnątrz, zawsze w rezerwie wobec obcych, wahający się, raczej usuwający się w cień, choć ambitny w marzeniach, a więc wtórnie aspołeczny, zamknięty w sobie typ introwertywny. 2) Drugi typ, często na naszych ziemiach spotykany, to *psychastenik* pełen wątpliwości, z trudem decydujący się na jakiegokolwiek działanie, często cierpiący na lęki, które w dużej mierze decydują o jego postępowaniu. U ludzi, należących do tego typu, spotyka się natręctwa, fobie w różnym nasileniu i czynności przymusowe. Dlatego też są oni mało twórczym nasileniu i czynności przymusowe. Dlatego też są oni mało twórczym nasileniu i czynności przymusowe. Dlatego też są oni mało twórczym nasileniu i czynności przymusowe. 3) Trzecim typem są *paratymicy* — osobnicy drażliwi, podejrzliwi, nieufni, ale samowolni i władczy, typy przewrażliwione na krytykę dotyczącą ich osoby, lecz nie liczące się z niczym, jeśli idzie o ich własne cele lub idee. Długo pamiętają urazy im zadane i po latach wypowiadają je lub mszczą się. Stale mają pretensję do świata i otoczenia i uważają ludzi za niewdzięcznych. Z tego typu rekrutują się reformatorzy i fanatycy. Są to ludzie zazdrośni, zarozumiali, czujący się prześladowanymi, *persécuté persécuteur*. Są często bardzo zdolni. Egoiści o egotycznym sumieniu. Nie rzadko spotyka się u tych osobników rysy homoseksualne. 4) Czwarty typ, to *hebetymicy*. Są to ludzie, u których stwierdzamy niejako przedłużony tzw. cielejący wiek. Śmieją się zatem bardzo o *propos*, robią głupie dowcipy i kawały, są zmanierowani, przesadni w ruchach, przy tym często interesują się bardzo poważnie zagadnieniami najbardziej abstrakcyjnymi i filozoficznymi. Wybitne zainteresowanie własną osobą i własnym zdrowiem, prowadzące do hipochondrii. Przez innych zasadniczo lubiani z powodu błaznowania, ale nie brani na serio. Często autystyczni, z pustką w duszy, mający pozornie łatwy kontakt z otoczeniem mimo wyrażonego i często spotykanego oporu, graniczącego z negatywizmem. Te same cztery typy o cechach nasilonych nazywamy *schizoidami*.

We wszystkich wymienionych grupach znajdziemy osobników cierpiących na lęki czy uczucia niepokoju lokalizowanego w głowie lub częściej w okolicy serca lub żołądka. Zdaje się, że ten niepokój jest objawem schorzenia *plexus solaris*. Jak już powiedziałem, lęki są objawem ogólnoludzkim i nie związanym ani z typem konstytucjonalnym, ani z jakimś specjalnym stanem psychopatologicznym. Natręctwa, to krąg dla siebie, krąg łączący się lub przecinający z innymi kręgami dziedzicznymi.

Tyle o podstawowych typach Kretschmera. Poza jednak tymi dwoma typami, cyklotymicznym i schizotymicznym, które tworzą jakby filary, na których się opiera cała konstrukcja konstytucjonalno-typologiczna tego autora, istnieją jeszcze inne grupy, których wciskanie siłą do grup schizotymicznych i cyklotymicznych skazane jest na niepowodzenie. Zrozumiał to częściowo sam Kretschmer, który tuż przed ostatnią wojną wydzielił jeszcze ludzi o budowie atletycznej, a o wiskozyjnych cechach charakteru. Te typy wiskozyjno-epileptoidalne, to osoby nienerwowe, psychicznie lepkie, pedantyczno-epileptoidalne, wybuchające często wielkim gniewem lub nienawiścią. Myślą wolno, dokładnie, analitycznie, są ludźmi zawziętymi, duchowo lekko przyklejonymi do dawnych czasów, do tradycji i do raz ugruntowanych pojęć. Są zatem konserwatystami. Typ ten, nie bardzo dokładnie opracowany, a raczej intuicyjnie odgadnięty, był już dawno opisany przez Minkowską. Również Zieliński z Krakowa podejrzewał od dawna, że ten typ powinien być wydzielony i nie może utonąć w morzu schizotymicznym.

Od jakich 30 lat widziałem zasadnicze różnice charakterologiczne między ludami germańskimi z jednej strony, a słowiańskimi i romańskimi z drugiej, zająłem się ich badaniem, które mnie ostatecznie doprowadziło do dalszego rozszerzenia typologii Kretschmera. Wszelkie cechy charakterologiczne występują wprawdzie u wszystkich ludzi, lecz styl przeżywania i styl bycia inny jest u różnych ludów, a więc inny w narodach germańskich, inny w słowiańskich, a jeszcze inny w romańskich. Wydawało mi się dalej, że ludy romańskie i słowiańskie przeżywają i postępują pod wieloma względami podobnie. Nie darmo Górnicki już w XVI w. nazywał Polaków Francuzami północy. W czasie pierwszej wojny światowej byłem lekarzem tyrolskiego pułku, w którym jednak służyło wielu Polaków, Rusinów, Czechów, Słowenów, Chorwatów, a także Włochów i Rumunów. Badałem wtedy zachowanie się tych ludzi przed bitwą, w czasie niej i po niej. Okazało się, że członkowie ludów słowiańskich i romańskich zachowują się w podobny sposób, germańskich zaś w inny. Oczywiście nie

zapomniałem o czynnikach psychogennych czy koniunkturalnych — wszak większość narodów monarchii austro-węgierskiej nie była się o własną sprawę. Jednak różnice między zachowaniem się przedstawicieli narodów słowiańskich i romańskich z jednej strony, a germańskich z drugiej były tak zasadnicze, że nie ulegało dla mnie żadnej wątpliwości, iż czynniki rasowe (wówczas jeszcze prawie nie słyszano o konstytucji) grały w reakcjach duchowych rolę podstawową. Lecz te moje wrażenia nie doprowadziły wtedy do skryształizowania się nowej hipotezy roboczej.

Dopiero w czasie ostatniej wojny 1939—1945 spostrzegłem znowu wielkie różnice między podstawowymi cechami duchowymi Niemców i Polaków. Różnice te były frapujące. Co prawda wielu Austriaków wykazywało cechy zbliżone do nas, okazało się jednak, że w ich żyłach płynęła zawsze krew słowiańska. W różnicy krwi leżała tajemnica różnego zachowania się Niemców i Polaków, a właściwie w różnicach *krazji* — soków ustrojowych i gruczołów dokrewnych. Te różnice, przekazywane dziedzicznie z pokolenia na pokolenie, powodowane są specjalnymi dziedzicznymi odchyleniami konstytucjonalnymi, wytworzonymi przez wieki i tworzą dziedzicznie uwarunkowane stopy konstytucjonalnie nazwane *genotypami*. Specjalne warunki środowiska, nazwane za Siemensem *paretypem*, składają się wspólnie z *genotypem* na wytworzenie *fenotypu*, w naszym przypadku pracę o reakcjach lub Polaka. W czasie ostatniej wojny wykończyłem pracę o reakcjach psychogennych i histerycznych. Zastanawiając się nad histerią z punktu widzenia analizy strukturalnej doszedłem do wręcz odwrotnych wniosków niż autorowie niemieccy doby ostatniej. Doszedłem mianowicie do przekonania, że nie istnieje prawdziwa, właściwa histeria bez dziedzicznego charakteru histerycznego. Dla udowodnienia tego musiałem przeprowadzić badania genetyczne, które rozpocząłem od genetycznego ujęcia 80 osobników. Aby móc udowodnić swą tezę o istnieniu prawdziwego charakteru histerycznego, przebadałem ich o rodziny wraz z liniami bocznymi, a więc nie tylko rodziców i ich dzieci, ale także braci i siostry, ich dzieci, braci i siostry cioteczne i stryjeczne z ich dziećmi, czasami ich babki i dziadków, tak że doszedłem do cyfry 2173 zbadanych osób. Ponieważ była to cyfra wcale poważna, nie mogłem wszystkich badać metodą antropometryczną, która zajmuje zbyt wiele czasu, gdyż interesowałem się, poza systemem wegetatywnym, również charakterem i temperamentem oraz inteligencją. Dlatego też badanie charakterologiczne przeprowadzałem u wszystkich, natomiast badanie antropometryczne i wegetatywne

tylko na wybranych osobnikach. Przepadałem zatem najdokładniej wedle specjalnego planu 131 osób z inteligencji (74 kobiet i 57 mężczyzn) oraz 176 osób z ludu (91 kobiet i 85 mężczyzn), ponieważ wykazywali cechy znamienne dla charakteru histerycznego. Poza tym przepadałem dokładnie 543 osoby (280 kobiet i 263 mężczyzn), ponieważ nie wykazując cech charakteru histerycznego posiadali cechy specjalne, których nie umiałem zmieścić ani w charakterze cyklotymicznym, ani schizotymicznym, ani wiskozyjnym. Stanąłem zatem w obliczu prawdziwej zagadki, napotykając na zespół cech nie opisanych przez Kretschmera, a bardzo często występujących wśród rodzin badanych osób. Przystąpiłem zatem po skończeniu swej pracy o histerii do wyłuskiwania tych tajemniczych cech, które nie mieściły się w dotychczas opisanych typach konstytucjonalnych. Okazało się, że cechy te rysowały się tak plastycznie i tak często były spotykane, iż musiałem wydzielić posiadające je osoby w nową grupę charakterologiczną. W związku z tym zacząłem się przyglądać normalnym otaczającym mnie ludziom, znajomym, kolegom, uczniom. Przepadałem dotychczas szereg ludzi „z ulicy” i mogłem z nich znowu wydzielić kilkaset takich osób, które odpowiadały zupełnie typowi tworzącemu nową grupę. Jest rzeczą zrozumiałą, że nie wszyscy należeli do typów czystych. Wielu z nich było stopami zlanymi z różnych typów z przewagą cech typu nowego. Wiemy bowiem, że typów wyraźnie czystych jest na ogół nie dużo. Niemniej jednak cechy charakterologiczne, które wydzieliłem, są tak charakterystyczne i tak dominują nad innymi, że nadają posiadającemu je osobnikowi wyraźny styl. Takich osób z dominacją cech nowo wydzielonych spotyka się u nas wcale niemało i, chociaż prawdą jest, że czystych typów nie ma dużo, to mieszańców z dominantą nowego typu jest pokaźna ilość.

Nowy przez mnie wydzielony typ wykazuje trzy podstawowe cechy. Po pierwsze — słomiany ogień uczuć, po drugie — grę życiową z gestem i fantazją „kawalerską”, po trzecie — zwartość i cierpliwość w czasach niekorzystnych, a rozklejałość i lekkomyślność w okresach powodzenia. Ze względu na pierwszą cechę, którą nazwałbym cechą słomianego ognia, dużej chwiejności uczuć zależnych od psychogennych momentów, nazwałem ten typ typem *skirtotymicznym*, od *skirtao* — skacze, tańczy, i *thymos* — duch, temperament. Patologiczne zaostrenie tego typu i wykoślawienie jego cech, które odpowiada temu, co nazywamy charakterem histerycznym *sensu stricto*, nazywam *skirtotoidem*. Skirtotoid jest zatem osobnikiem, którego cechy „histeryczne” są uwarunkowane dziedzicznie, który odznacza się tym, co

nazywamy charakterem historycznym, dziedziczącym się dominantnie, i w którego dalszej rodzinie spotykamy osobników o cechach skirto-tymicznych, o których poniżej będzie mowa. Muszę jednak natych-miast dodać, że znam rodziny o wyraźnych cechach skirtotymicznych, w których nie ma skirtotoidów-historyków. Zrozumie to każdy, kto zna rodziny schizotymiczne, w których nie zawsze się spotyką schizotoidów. Tłumaczyć to można w ten sposób, że tak schizoid jak skirto-toid dziedziczy się dominantnie i polimerycznie, a schizotymik czy skirtotymik dziedziczy tylko częściowe wycinki podłoża (*Teilanlage*), które tylko w niezbyt czystych konstelacjach rodowych stwarzają antynomiczne konglomeraty cech, budując z części dziedziczonych podłoża całość, która w następnych pokoleniach znowu się rozpada na części (*Teilanlage*). Wynikałoby z tego, że taka jednorazowa konstelacyjna całość może się nie dziedziczyć, tylko rozpada się znowu w następnych pokoleniach na części. W innych przypadkach całość przekazywana pokoleniami dziedziczy się stale dominantnie w tej samej konstelacji, czyli dziedziczy się stale jako całość. Osobiście w ten sposób tłumaczę sobie nieregularne dziedziczenie w dominantnych ale polimerycznych przypadkach i w ten sposób także można zrozumieć nasilanie i rozwadnianie się cech w szeregu pokoleń obarczonych taką dominacją. Dlatego też monomeria w psychiatrii, zwłaszcza w psychopatiach, jest dla mnie trudna do przyjęcia, gdyż jest jednolitym blokiem cech dziedzicznych, które w warunkach monomerycznych musiałyby się dziedziczyć jako całość, choć oczywiście mogłyby ulec rozcieńczeniu. Natomiast nie wyobrażam sobie, żeby mogły cechy monomerycznie się dziedziczące ulec rozpadnięciu na części, które by się dziedziczyły lub nie. Taką koncepcję można by uważać za *contradictio in adiecto*. Dlatego należy przypuszczać, że dziedziczny krąg schizofrenii, dziedziczący się w częściowych wycinkach, manifestuje się jako schizotymia i schizoid, a dziedziczny krąg cyklofrenii dziedziczy się podobnie w częściowych wycinkach jako cyklotymia lub cykloid. Moje badania wydają się wskazywać, że krąg charakteru historycznego, jeśli dziedziczy się w wycinkach, to jako skirtotymia. Owo stopniowanie objawów jest właśnie najlepszym dowodem polimerii i nie wiem, czy może być w ogóle próbowane tłumaczenie wieloalelią przy monomerii.

Otóż u narodów romańskich, które znam, jak też u Polaków, Rusinów i Rosjan napotkałem typy, których zmieścić w typologii Kretschmera nie było można. Zauważyłem ponadto, że w Polsce typów tych, które już będę nazywał typami skirtotymicznymi, jest stosunkowo

wiele, jednak że skirtotymicy nie są równomiernie rozsiani po całym kraju. W Warszawie przedpowstaniowej było ich wcale dużo. W Polsce najmniej skirtotymików spotyka się na północo-zachodzie, więcej na południo-zachodzie, idąc z zachodu na wschód. Na terenach dawnej polskiej Litwy i Małopolski wschodniej typów takich napotyka się dość dużo. Między Niemcami spotyka się ich mało i dlatego właśnie nie wydzielił ich Kretschmer. We Włoszech i we Francji południowej typów, o których mowa, jest wiele, w Paryżu jako w dużym skupisku francuskim najwięcej. Sprawdzenie tego mojego wrażenia muszę jednak zostawić autorom francuskim, którzy może przeprowadzą odpowiednie badania. Biorąc pod uwagę poszczególne cechy nowego typu należy się przede wszystkim zastanowić nad budową ciała tych osób. Otóż moje badania wykonane na polskiej ludności w ilości około 3000 przypadków wykazują po dokładniejszym przeliczeniu, które obecnie przeprowadziłem, że typy skirtotymiczne łączą się w 30% z budową leptosomiczną; w 27% z dysplastyczną, a w 22% mają niektóre cechy dysplastyczne. Wynikałoby z tego, że 49% skirtotymików wykazywało mniej lub więcej wyraźnych cech dysplastycznych. Osobiście wolę nazywać typy dysplastyczne typami dysharmijnymi, ponieważ budowa ich z punktu widzenia harmonii cielesnej wykazuje pewne odchylenia.

Temperament tych ludzi nosi cechy „słomianego ognia uczuć”, a więc różni się od cyklicznego, fazowego, falistego lub ewentualnie jednokierunkowego temperamentu cyklotymików. Słomiany bowiem ogień bucha wysoko w górę i jest krótkotrwały, zmienny i wielokierunkowy przy zmiennym tempie życiowym i zmiennych, szybko wahaających się miasmach podstawowych i sposobie bycia. Tempo ruchowe tych osób będzie również zmienne, skacząco-tańczące, ruchy będą żywe, czasem nerwowe, „młodociane” nawet w starszym wieku, a chód ich będzie miał w sobie coś tanecznego. Pewien niewysłowiony „gest” w ruchach będzie cechą bardzo charakterystyczną, której trudno by się było doszukać w płynnych, miękkich ruchach cyklotymików, a której zupełnie nie spotyka się w kanciastych, ostrych ruchach schizotymików. Wiskozyjny ma, jak mi się zdaje, ruchy „kariatydowe”, ciężkie, z zaznaczeniem wagi ciała, czym się zasadniczo różni od pełnych taneczności lub pełnych gestu ruchów skirtotymików. Ten gest, tak często spotykany w ruchach, jest jednak przede wszystkim najważniejszą cechą charakterologiczną, a zatem duchową skirtotymików. Na grze z gestem lub nawet grze z gestem i fantazją polega zasadniczy styl życiowy tego typu ludzkiego. Nie

jest to jednak gra teatralna, nie jest to rola, w którą się dany osobnik wczuwa, lecz gra z gestem lub fantazją, będąca istotną cechą natury, charakteryzującą główne posunięcia życiowe skirtotymika. Ta gra staje się bujniejsza przed forum widzów i dlatego przed forum występuje wyraźniej. Ale nawet gdy skirtotymik jest sam, to często gra rolę swego życia z gestem przed sobą samym, dyż gra taka jest jego właściwym stylem. Wynikiem tego stylu życiowego będzie często „ryoerskość”, zwłaszcza wobec płci przeciwnej, i brawura, zwłaszcza wobec widzów. Dalszym następstwem gry z gestem będzie pewna próżność i lekkomyślność. Inną charakterystyczną cechą skirtotymików będzie „bujanie w obłokach”, fantastyczność pomysłów, często myślenie kategoriami arealnymi. Skirtotymicy, to jednostki wyraźnie indywidualistycznie myślące, nie lubiące więzów ani ograniczeń, co często prowadzi do samowoli. Nieraz jednak skirtotymik wykazuje cechy wielkoduszości, które jeśli nie są podbarwione za silnie lekkomyślnością, należą do piękniejszych rysów charakteru skirtotymicznego.

Mówiliśmy, że trzecią zasadniczą cechą grupy ludzkiej, o której mowa, jest miękkość i rozklejalność w życiu normalnym lub w dobrobycie przy pewnej dozie próżności i lekkomyślności, wypływającej częstokroć z pierwiastka charakterologicznego, jakim jest dla mnie zasadnicza, najważniejsza i osiowa cecha skirtotymiczna, mianowicie „gra z gestem i fantazją”. Natomiast ci sami ludzie będą nas często zadziwiać w chwilach kataklizmów życiowych i w okresie nieszczęść rzadko spotykana wytrwałością, zwartością, a nawet uporczywą chęcią przetrzymania ciężkich i złych chwil życia. Ten sam skirtotymik, który w czasie powodzenia życiowego „buja w obłokach”, a więc myśli kategoriami arealnymi i jest samowolnym indywidualistą, stać się może w trudnych chwilach swego życia przyziemnym i cierpliwym w znoszeniu przeciwności i spotykających go nieszczęść, i umie długo cierpliwie i pokornie czekać na lepsze czasy. Niech jednak znowu zaświeci słonko dobrej koniunktury, a już nasz skirtotymik staje się często odśrodkowo działającym indywidualistą, egzaltowanym fantastą, często lekkomyślnie i powierzchownie podchodząc tak do spraw dla niego ważnych, jak i do swoich obowiązków, które będą dla niego *malum necessarium*, nie celem życia jak to być powinno i jak nawet bywa u społecznie wartościowego odłamu cyklotymików. Jednak tam gdzie szybka orientacja, bogata wyobraźnia, improwizacja i brawura z gestem mają swoje znaczenie, tam skirtotymik będzie na wysokości zadania. Dlatego też w czasie uczuciowych porywów wznieść się mogą

skirtotymicy na wyżyny prawdziwej rycerskości i na szczyty świętych wyczynów. Niestety, są zwykle niewytrwali, a co za tym idzie nieproduktywni, choć pełni dobrych chęci, marzeń i nadmiaru patetycznych słów i dobrych rad. W okresie dla siebie miekorzystnym, a więc w chwilach niesprzyjających wykazaniu szerokiego gestu i wyróżnianiu się, skirtotymik często twierdzi, że „gwiżdże na wszystko”, i skłonny jest do lekceważenia tradycji, tytułów, odznaczeń i zasług innych. Wtedy czuje się demokratą, a nawet prawie anarchistą, twierdząc, że „szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie”. Gdy jednak spadną na niego zasłużone czy nie zasłużone odznaczenia, wtedy zamienia się w arystokratę i przysłówie „co wolno wojewodzie, to nie szlachcie na zagrodzie” bardziej odpowiada jego pojęciom i zarozumiałości. Dlatego też genealogia skirtotymika sięga przynajmniej czasów rzymskich, a jego rodzina na pewno bardziej się zasłużyła ojczyźnie niż rodzina sąsiada.

W odróżnieniu od schizotymika, skirtotymik posiada zdolność wczuwania się w sytuację drugich, dzięki czemu może być dobrym księdzem, spowiednikiem, adwokatem, lekarzem.

Seksualność i miłość skirtotymika będzie tak nieobliczalna jak on sam. Tym też się będzie różniła od zazwyczaj przykładowej i syntonicznej miłości cyklotymika i od idealnej, wrażliwej, przerafinowanej miłości schizotymika. Najczęściej jednak skirtotymik będzie tym prawdziwym *cavalier galant* czy *cavalier chevaleresque*, czym nie potrafi być ani rzeczowy i przyziemny cyklotymik, ani idealny ale obraźliwy lub chłodny schizotymik. A jednak mimo tych zewnętrznych cech rycerskości skirtotymik dla pochwalenia się sukcesem potrafi w męskim towarzystwie podać nazwisko swojej bogdanki oraz opowiedzieć wszystko, co ich intymnie łączyło, czego by schizotymik nie uczynił. Higiena osobista nie leży w naturze skirtotymików. Dlatego skirtotymiczka będzie wyżej cenić piękną wierzchnią suknię od czystej koszuli i szminkę wyżej od gąbki, a w wannie skirtotymika będzie można znaleźć skład starych rzeczy, choć salon będzie u niego jak najpiękniejszy. Dom i ognisko domowe będą dla skirtotymika mniej ważną instytucją, gdyż ulica, kawiarnia, cukiernia, restauracja lub klub będą jego drugim domem — sceną, gdzie się będzie mógł lepiej i weselej zabawić i pokazać, zabłysnąć i wzbudzić zazdrość u innych. Schizotymik może także lubić klub, ale raczej ekskluzywny, a cyklotymik będzie bardzo lubił na swój sposób życie poza domem, np. kawiarnię, gdzie spotka się z ludźmi, których ceni i z którymi będzie siedział przy na stałe zarezerwowanym dla niego i jego przyjaciół stole, ale

styl przeżywania będzie u wszystkich tych typów charakterologicznych różny. Skirtotymik będzie uczęszczał tylko do modnych lokali, cyklotymik stale do tych samych, sprzeniewierzając się im tylko w okresach hipomanii. Także w innych dziedzinach przeżyć różnica stylu duchowego jest wybitnie wyraźna. Skirtotymik bowiem, mając bogatą wyobraźnię ale nie licząc się z rzeczywistością, może się stać niepraktycznym lub egzaltowanym, egocentrycznym fantastą, bujającym w obłokach, i będzie do spraw życiowych podchodził inaczej niż realista cyklotymik lub schizotymik idealista lub zimny egoista. Toteż obowiązkowość nie jest cechą skirtotymiczną. Z powodu pewnej lekko-myślności pojęcie cudzej własności nie będzie zbyt rygorystycznie przestrzegane i skirtotymik łatwo się rozgrzeszy, „szabrując” cudzą własność. Natomiast rabunek, bezwzględność i surowość rzadko się spotka u skirtotymików w czasach normalnych. Nie będąc bezwzględnym i surowym będzie nasz typ potępiał zasadniczość, nietolerancję — zwłaszcza religijną — i oschłość tak charakterystyczną dla schizotymików. Skirtotymik nie ma dużego poczucia humoru, również nie łatwo go zabawić. Inteligentny skirtotymik wymaga od dowcipu wysokiego poziomu, a np. błaznowanie, które cyklotymika łatwo rozbawi, wzbudzi u skirtotymika inaczej uczucie „zblazowania”. Zblazowanie jest często spotykane u tego rodzaju ludzi także w innych sytuacjach życiowych.

Pojedynczy schizotymik może być czasami niepraktycznym ideowcem, ale w grupie większej — jak w szeregach i narodach — schizotymicy równoważą się przez swoje dwa bieguny duchowe. Dlatego też narody o przewadze schizototymicznej nigdy nie bywają równie niepraktyczne jak narody o przewadze skirtotymicznej. Jeśli bowiem jeden skirtotymik jest często przemitym towarzyszem, to grupa skirtotymików bywa odśrodkowo działająca, samowolna i próżna, tworząca tyle oryginalnych ale niezgodnych zdań, z ilu osób się składa. W przeciwieństwie do tego tworzą grupy o przewadze cech cyklotymicznych związki i zgrane zespoły, oparte na praktycznych zasadach, zwarte i kuśrodkowe. Grupy o przewadze schizotymicznej komponenty charakterologiczne będą mimo autyzmów tworzyć zespoły raczej karne i posłuszne. Styl życiowy skirtotymików wpływa bardziej z chęci użycia niż z pracy i obowiązku, które uważane są tylko za przykrą konieczność życiową. Z dodatnich społecznie cech skirtotymicznych podkreślić należy przede wszystkich duże ogólne zdolności przy szerokim horyzoncie myślowym, choć pewnym braku patrzenia w głąb; wielką siłą atrakcyjną skirtotymików jest *esprit*,

którym się często wyróżniają, i wrodzona kultura duchowa. Nie brakuje im wielkoduszości, która przy grze z gestem bywa pięknym rysem charakterologicznym. Brawurowa odwaga, zwłaszcza przy widzach, będzie również dodawała blasku tym postaciom. Szarża na Somosierrę jest właśnie takim pięknym, brawurowym, skirtingowym wyczynem. Niestety niewielu pozostałych przy życiu niepraktycznych bohaterów mogło usłyszeć z ust Napoleona pochwałę, dla której tylu ludzi poniosło śmierć.

Nie często się spotyka czyste typy skirtingowe. Należy jednak podkreślić z całym naciskiem, że czyste typy charakterologiczne w ogóle trafiają się wśród normalnych i zdrowych ludzi znacznie rzadziej niż stopy charakterologiczne, które właśnie tworzą większość normalnej ludności. I dlatego tak często widzimy, że niejeden normalny osobnik podchodzi np. do zagadnień kultury i sztuki skirtingowo, a do nauki schizotymicznie. To spostrzeżenie można było poczynić, badając szereg studentów medycyny Uniwersytetu Jagiellońskiego. Czysty typ charakterologiczny nadaje ludziom pewną wytyczną kierunkową, pewien wyraźny i jednokierunkowy styl życiowy, jaki się niezbyt często spotyka u przeciętnych ludzi normalnych. Ludzi o chorobliwym zaostreniu skirtingu przy psychopatycznym przedstawieniu charakteru skłonny byłbym nazwać *skirtingoidami*, stojącymi na tym samym poziomie psychopatologicznym co schizoidzi i cykloidzi. Skirtingoid, to synonim genetycznie uwarunkowanego charakteru histerycznego, co potwierdzają moje badania. Wtedy do słomianego ognia uczuć i gry z gestem i fantazją dołącza się teatralność w zachowaniu się i wyraźnie chorobliwa chęć błyszczenia, która będzie wypływać z braku proporcji między żądzą znaczenia a możliwością wykonania zadania, przy tendencjach do tzw. „ucieczki w chorobę”. Często przyłączają się jeszcze cechy pseudologiczne i *moral insanity*.

Najczęściej spotykanym stopem charakterologicznym w Polsce jest stop skirtingowo-schizotymiczny. Są to typy zazwyczaj nerwowe i niewyrównane w sobie. Właściwie tylko piknicy-cyklotymicy stwarzają typy scharmonizowane w sobie, harmonijnie w sobie stopione. Natomiast tak schizotymicy i skirtingotymicy jak też i wiskozyjni wykazują objawy niewyrównania duchowego, cechy jakby walki wewnętrznej dwóch dusz. Na naszym terenie etnograficznym, tworzącym płaszczyznę ścierania się dwóch kontynentów, tak bardzo różniących się między sobą pod każdym względem, typy nieharmonijne, silnie zbastardyzowane spotyka się często. W każdym razie nie ulega wątpliwości, że

typy dysharmonijne duchowo i dysplastyczne cielesnie są u nas częstsze niż na zachodzie Europy.

Trudno jest mówić na razie o genialnych skirtotymikach, nie mogąc się opierać na dokładnych i obiektywnych biografiach. Biografie w ostatnich czasach są zbyt często pisane subiektywnie, rzadko który autor zdobywa się na obiektywizm; wydaje się jednak jakoby Jan Sobieski był właśnie takim pysznym skirtotymikiem. Król „Staś” wykazuje także wyraźne cechy „gry z gestem” i słomiany ogień uczuć, podobnie jak Kościuszko i Pułaski, jeśli wierzyć biografom i ich obiektywności w opisywaniu dobrych i złych cech charakterologicznych. Patrząc na arcydzieło Matejki, przedstawiające Reytana, broniącego honoru sejmu z wyraźnym „gestem i grą”, należy przypuszczać, że i u Reytana zasadniczym stylem życiowym była prawdopodobnie „gra z gestem”. Oczywiście nie uważam powyżej wymienionych osobistości za genialne, tylko za osobistości z różnych względów nadprzeciętne. Genialność zresztą, jak wiadomo, jest jednorazowym wysokiem biologicznym rzadko u nas spotykanym i nie dziedziczającym się, a więc nieciekawym z zajęcia tego tu stanowiska.

O ile u artystów, muzyków i pisarzy cechy gry z gestem, bogata wyobraźnia, pewien brak poczucia rzeczywistości i fantastyczność, są cechami mogącymi nawet wzmacniać ich wartości twórcze, o tyle te same cechy u polityków i wodzów wprawdzie prowadzą do efektywnych posunięć i do pięknych krótkotrwałych wyczynów, lecz nie uchodzą za dodatnie. Natomiast u naukowców rzecz się przedstawia nieco odmiennie. Należy pamiętać, że cechy predysponujące osobnika na pracownika naukowego zależą tylko częściowo od jego temperamentu i charakteru, które dziedziczają się w sposób nam już znany, przede wszystkim zaś od intelektu, który jest sumą wielu właściwości psychicznych i dziedziczy się w sposób specjalny i zasadniczo niezależnie od charakteru. A jednak doświadczenie, nie poparte na razie dokładnymi badaniami, uczy nas, że pewne typy charakterologiczne stoją intelektualnie wyżej od innych (Luksenburger). Moje dotychczasowe badania zdają się wskazywać, że skirtotymicy mimo ogólnych zdolności są nieproduktywni, jeśli idzie o pisaną pracę naukową, co utrudnia wybitnie badanie. Typ skirtotymiczny posiada jednak wiele z tego, co określamy mianem mądrości, i to, co nazywamy inteligencją praktyczną, a niektóre osobowości posiadają także i to, co zwiemy inteligencją poznawczą. Te typy osobowościowe, które posiadają oba rodzaje inteligencji, ale u których przeważa inteligencja poznawcza, są predysponowane na pracowników naukowych we właściwym tego

słowa znaczeniu. Jednak wiele dyscyplin praktycznych, jak np. medycyna kliniczna, pozwala osobom o przewadze inteligencji praktycznej na osiągnięcie w nich powodzenia, zwłaszcza jeśli w ich postępowaniu dużą rolę gra element woli. Mówię wówczas o posiadaniu przez nie bodźca stenicznego, który nie należy do stałych cech skirtotymii. Literatura i muzykologia jako nauki stanowią wyraźnie domenę skirtotymików. Zauważyłem np., że skirtotymicy, których znam, posiadali w dużej mierze łatwość opanowywania obcych języków. Mając poza tym szerokie spojrzenie na świat, tak zwany szeroki horyzont myślowy, łatwość improwizacji i łatwość syntetycznego choć może nieco powierzchownego ujmowania spraw, mogą ci ludzie, jeśli kryją w sobie bodziec steniczny, być znakomitymi uczonymi, zwłaszcza w niektórych dziedzinach. Znam wybitnych polonistów, romanistów, anglistów wykazujących wyraźne cechy skirtotymiczne. Sam znalazł je w sobie również pewien psycholog, wybitny profesor uniwersytetu. Na medycynie znam kilku klinicystów, wybitnych specjalistów w swej dziedzinie, którzy należą do typu skirtotymicznego. Natomiast nie spotkałem na razie wśród znanych mi skirtotymików filozofów ścisłych, matematyków, astronomów, fizyków i chemików. Wydawałoby się zatem, że nauki abstrakcyjne nie należą zasadniczo do domeny skirtotymików. Trudno mi na razie dokładnie wartościować tych uczonych skirtotymików, gdyż musiałbym ich dopiero porównać ze skirtotymicznymi uczonymi francuskimi, włoskimi i rosyjskimi, by coś o tym można było powiedzieć. Jak bowiem wiadomo, w krajach tych także napotkać można często na skirtotymików. Ponieważ kilku z tych badanych przeze mnie uczonych skirtotymicznych należy do Polskiej Akademii Umiejętności, przeto wnosić z tego wypada, że są to ludzie wyraźnie ponadprzeciętni między uczonymi. Prawdziwe jednak wartościowanie tego typu ludzkiego pracującego naukowo może mieć dopiero wtedy właściwą wagę, jeśli się go rozpatrzy w zwierciadle innych krajów, co umożliwi uzyskanie niezbędnej do tego celu perspektywy zgodnie z zasadą Lamantine'a. Nie ulega dla mnie wątpliwości, że uczeni skirtotymicy posiadają wielki przyrodzony zmysł obserwacyjny, co przy ich syntetycznym sposobie myślenia stanowić może niejednokrotnie punkt wyjścia dla nowej idei, dla nowej twórczej myśli, która z chwilą zdobycia właściwej interpretacji stać się może prawdziwym początkiem odkrycia naukowego. Pewne stygmaty artystyczne skirtotymików ułatwią podanie tego odkrycia naukowego w formie strawniejszej niż w ciężkich i pełnych abstrakcji pracach schizotymików, które często trudne są do czytania i zrozumienia. Dla-

tęgo też wielu autorów romańskich, cyklotymików i skirtotymików, oraz autorów polskich, zdradzających cechy osobowości skirtotymicznej, wyraźnie różni się co do stylu i formy swych prac naukowych od rozwlekłego, przesadnie dokładnego i bez polotu podanego stylu prac autorów schizotymicznych lub wiskozyjnych.

Osobiście sędzę, że nie czysty typ skirtotymiczny, ale stop skirtotymika ze stenicznym schizotymikiem dać nam może znakomity typ naukowca. Naukowcy tego rodzaju są wielostronni lecz dokładni, analitycy i syntetycy, wnikliwi, lecz z polotem. Bodziec steniczny usunie nieproduktywność tak często spotykaną u skirtotymików, a skirtotymiczna chęć wyróżnienia się i łatwość improwizacji będzie jeszcze jednym czynnikiem uczynniającym ambicję, ten tak ważny czynnik prowadzący wzwyż. Naukowcy tego pokroju mogą być rzeczywiście bardzo pożądani.

Poznanie własnego typu osobowościowego ułatwi młodemu adeptowi nauki właściwy wybór dyscypliny naukowej, która najbardziej odpowiada jego stylowi duchowemu. Skirtotymicy są na ogół dość sugestywni. Dlatego można przypuszczać, że celowe wychowanie tego typu ludzkiego, jeśli będzie przeprowadzone od wczesnej młodości i w odpowiedni sposób, może nam dać nie tylko brawurowych, dzielnych żołnierzy i dobrych, ofiarnych obywateli kraju, lecz również naukowców oddanych całym swoim życiem nauce.

KLINIKA NEUROLOGICZNO-PSYCHIATRYCZNA U. J., KRAKÓW.

FAKTY I POGLĄDY

O BRAKU PRAWNIKÓW W ODBUDOWIE... PRAWA PUBLICZNEGO

W ARTYKULE programowym redaktora *Życia Nauki* o *Nauce wobec społeczeństwa* (nr 1) czytaliśmy m. in.: „uczeni powinni dążyć do jak największego rozwoju nauk społecznych i psychologicznych, aby można było na nich opierać życie zbiorowe w takim stopniu, w jakim się dziś opiera technika na fizyce i chemii”, a także: „uczeni powinni brać żywy udział w kształtowaniu się prądów kulturalnych, walczących o prymat naukowego poglądu na świat..., jeśli nauka ma zająć w kulturze ogólnej miejsce jej należne, uczeni nie mogą się obojętnie przyglądać głoszeniu poglądów, których podstawy filozoficzne czy teologiczne są empirycznie bądź fałszywe, bądź co najmniej nie uzasadnione”.

Wydaje się, że tezy te są bezsporne, przynajmniej w dziedzinie... teorii. Jest rzeczą niewątpliwą, że abstrahując od klasyfikacji nauk według poszczególnych systemów, zalicza się naukę prawa — w praktyce — do nauk społecznych, i że ciąży na niej poważna odpowiedzialność, właśnie społeczna. Żyjemy w czasach wielkiego przełomu. „Żywiołowe wstrząsy drugiej wojny światowej skruszyły ostatecznie — głosi stojący na platformie naukowej Narodowy Instytut Postępu w Poznaniu — wieży ustrojowe minionej epoki. Równowaga układów społeczno-gospodarczych została zachwiana niemal że we wszystkich krajach... Poszczególne narody, wiedzione instynktem samozachowawczym, szukają najlepszych dla siebie form ustrojowych. Najlepszych, to znaczy zgodnych z dzisiejszym stanem opanowania przyrody przez człowieka, z duchem idei równości społecznej, a odpowiadających zarazem swemu charakterowi narodowemu. Tylko narody, które się nie zgubią i zadaniu temu sprostać potrafią, uzyskają w nowopoczątej epoce prawo do pełnego rozwoju, zachowają prawo do życia”. Cóż się tymczasem w Polsce dzieje w tak ważnej i zobowiązanej, wydawałoby się, do najruchliwszej akcji, nauce prawa państwowego (politycznego, konstytucyjnego), w nauce prawa administracyjnego, w dziedzinie historii ustrojów, jak i w naukach pokrewnych?

Zagadnienia referendum, parlamentu jedno- lub dwuizbowego, rozumna krytyka Konstytucji Marcowej, szereg problemów dotyczących przyszłej konstytucji polskiej, a także nie dawno odrzuconej przez obywateli francuskich, zaproponowanej przez konstytuante ustawy zasadniczej wraz ze znamieną dla Francji nową deklaracją praw, powinny być przedmiotem wyteżonych studiów i dyskusji prawniczych, a także oświecenia ich społeczeństwu — właśnie przez powołanych do tego ludzi nauki. Jeśli, oczywiście, nie mają oni schodzić do roli, jak to już praktykowano u nas w niesławnej pamięci czasach przedwojennych, wyraźnie podrzędnej, do roli tych, którzy prostują ewentualnie zbyt rażące błędy prawnicze, po fakcie zresztą ich dokonania, i naginają literę prawa w mniej lub bardziej umiejętny sposób do praktyki i pospolitych faktów. Czynna rola pracowników nauki z jednej

strony, a *dopuszczenie ich do głosu z drugiej strony* — leży w interesie społecznym, w interesie postępu. I nie wydaje się, że „nie jest czas po temu”. Przede wszystkim społeczeństwo odpowiedzieć ma już w czerwcu na tak poważne prawnicze pytanie, jak to, czy pragnie parlamentu jednoizbowego, a tymczasem kolportuje się ze strony „czystych” polityków dwa najczęściej zupełnie niepoważne twierdzenia. Niektóre sfery rządowe walczą z senatem reakcyjnym, co można odnieść do senatu z Konstytucji Kwietniowej, ale nie do izby drugiej w ogóle, a sfery „opozycyjne” dopatrują się w powyższym pytaniu nie usprawiedliwionej bynajmniej tendencji do uchylania się spod kontroli publicznej, której wyrazicielem bywa także druga izba. Wydaje się, że w związku z tym zagadnieniem należałoby przedyskutować, jak przedstawiają się — w braku istnienia senatu — możliwości istnienia i realnej pracy ciał doradczych, ale fachowych, tak jak to proponowano we Francji.

Zapewne, że pojawiają się w naszych tygodnikach literacko-społecznych artykuły o treści po części prawniczej, wyraźnie jednak w celach tylko informacyjnych, albo w nie zawsze pewnych ujęciach historyzoficznych. Swego czasu wyjątek stanowił na gruncie krakowskim wykład prof. Konstantego Grzybowskiego na inauguracji Wyższej Szkoły Nauk Społecznych o związkach, które zachodzą pomiędzy ustrojem prawno-politycznym a gospodarką planową w różnych jej formach i stadiach. Stanowisko prawników w dziedzinie prawa publicznego przedstawia się, można sądzić, przeważnie tak, jak je ujmuje prof. Andrzej Mycielski w artykule ogłoszonym w **Tygodniku Powszechnym: Zasady ordynacji wyborczej** (1946, nr 15) „My prawnicy, teoretycy, nie wiemy oczywiście dokładnie jaką przyszła ordynacja wyborcza będzie; w ramach pięciu przymiotników może, jak to widzieliśmy, kształtować się bardzo rozmaicie. Wiemy natomiast i wiedzieć mamy prawo, jaką nie będzie. Wiemy już dziś np., że nie prowadzi wyborów jawnych i pod naciskiem z zewnątrz, ograniczonych, kilkustopniowych i nie równych. Nie jest to zapewne wszystko, ale nie wiemy nic ponadto i musi nam to na razie wystarczyć”. Typowy to przykład postawy najbardziej biernej wobec tych wydarzeń, których jesteśmy świadkami, ale które wymagają postawy czynnej. Gdzieś są np. projekty naukowej polityki prawa w rozumieniu Leona Petrażyckiego!

Książka na najbardziej chyba interesujący temat, aktualna praca Leopolda Seidlena *O istocie władzy państwowej* (Kraków 1946) wbrew nadziei wyrażonej przez prof. Cezarego Berezowskiego, który poprzedził ją krytycznym wstępem, wybitnie dyskusyjnym, nie wpłynęła „na rozwój polskiego piśmiennictwa prawniczego przez wywołanie ciekawej dyskusji”. Ale, zdaje się, nie bardzo też wpłynęła na dyskusje naukowe — toczone poza prasą — poza jednym bodaj seminarium uniwersyteckim. Jest rzeczą znamionną, że w czołowym obecnie organie polskiego świata prawniczego **Państwo i Prawo**, w numerach pierwszym i drugim, które się dotąd ukazały, poza artykułem wstępnym pierwszego prezesa Sądu Najwyższego i wiceprezydenta KRN Wacława Barcikowskiego i poza jednym artykułem z dziedziny sądownictwa administracyjnego (oba w numerze pierwszym) nie ma ani jednej pracy z zakresu prawa politycznego lub administracyjnego. Zapewne, że w okresie tak przełomowym i przejściowym wybijają się na pierwszy plan w dyskusji publicz-

nej programy i wytyczne stronnictw politycznych, zapewne, że poważnej dyskusji przeszkadza nie raz „niepokój czasów” i że ludzką jest rzeczą walka o wpływy czysto personalne, ale przecież — zgodnie z podanymi na wstępie założeniami — powinno być tu miejsce także dla głosu nauki, jeśliby już nie wysuwać postulatów bardziej maksymalistycznych. Bo idzie nie tylko o ustroj, idzie o odbudowę zniszczeń prawnych, idzie o walkę z regułami gwałtu i totalnego obłędu, które nazywały się „prawem” w III Rzeszy i w innych koncepcjach faszystowskich. Zależać nam powinno na wychowawczej roli prawa i jego wkładzie w psychikę człowieka, a poprzez nią w system skoordynowanego zachowania się mas, który stanowi o ustroju społeczno-politycznym.

SEMINARIUM HISTORYCZNO-PRAWNE U. J. KRAKÓW

Bogusław Leśnodorski

JESZCZE O ENERGII ATOMOWEJ

ENERGIA ATOMOWA nie przestaje być tematem rozważań i trosk prasy angielskiej. Artykuł wstępny poświęca jej **Discovery** (1946, nr 4), rozpoczynając od stwierdzenia, że upłynęły już trzy miesiące od wydania przez Narody Zjednoczone rezolucji, ustanawiającej komisję do rozstrzygania zagadnień związanych z odkryciem energii atomowej. Czterema najważniejszymi problemami są zniesienie tajności w sprawach naukowych, ograniczenie zastosowań energii atomowej wyłącznie do celów pokojowych, wykluczenie broni atomowej ze zbrojeń narodowych i znalezienie metod kontroli. Rezolucja była dobra, pisze **Discovery**, lecz same rezolucje nie rozwiązują zagadnień międzynarodowych.

Isolacjoniści amerykańscy widzą w rezolucji nie tyle próbę rozwiązania zagadnienia bezpieczeństwa ogólnego, ile groźbę dla bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych. A z drugiej strony, jeśli nawet Ameryka działa w najlepszych zamiarach, zamiary te muszą się innym państwom wydawać w najwyższym stopniu podejrzane dopóki energia atomowa okryta jest tajemnicą. Bynajmniej nie przyczynia się do rozproszenia nieufności największy eksperyment wojenny, jaki kiedykolwiek był dokonany — zamierzone zniszczenie przy pomocy bomb atomowych 97 okrętów kosztem 125 milionów funtów szterlingów.

Discovery wyraża zdziwienie, że wciąż rosnące tendencje zachowywania tajności w sprawach naukowych nie spotykają się z powszechnym sprzeciwem uczonych Wielkiej Brytanii, gdy po drugiej stronie Atlantyku *Federation of American Scientists* prowadzi ostrą walkę o szybkie ujawnienie tajemnic (por. *Życie Nauki* nr 4, str. 311). „Letarg uczonych brytyjskich w bezpośredniej przeszłości jest tym trudniejszy do zrozumienia i wybaczenia wobec faktu, że staje się aż nadto oczywiste, iż tajemność nie ogranicza się w żadnym razie do spraw broni atomowej lecz grozi ogarnięciem bardzo szerokiego zakresu badań naukowych. Uczony może się dziś spotkać z poważnym atakiem za ogłoszenie danych jądrowych, które — zdawałoby się — należą do nauki czystej, nie zaś do technologii bomby atomowej. A dziedziną, w której obowiązuje anglo-amerykańska tajemność, z wyłączeniem innych kra-

jów, obejmuje również ważne aspekty badań nad, np., radarem i penicyliną". Z pewnością niehumanicznych ograniczeń w jak najszybszym rozpowszechnieniu wiedzy o penicylinie nic nie usprawiedliwi. Toteż zagrożenie wolności nauki w tak olbrzymim zakresie powinno skłonić do wystąpienia nawet tych uczonych, którzy starannie unikają uwikłania w politykę narodową czy międzynarodową.

Przy sposobności **Discovery** przypomina, że w najważniejszych sekretach wyrobu bomb atomowych i w najbardziej posuniętych badaniach nad energią atomową wojenni partnerzy — Stany Zjednoczone, Wielka Brytania i Kanada — nie uczestniczą w równym stopniu. W pracy badawczej Wielka Brytania i Kanada grały wielką rolę, lecz nie dopuszczono ich do udziału w dużej części procesu przemysłowego. Żaden uczony brytyjski nie przestąpił dotychczas bramy zakładów inżynierskich w Hanford, jednej z dwóch największych amerykańskich fabryk bomb atomowych.

Artykuł kończy się stwierdzeniem, iż zarówno w kołach rządowych jak wśród szerokiego ogółu brakuje zrozumienia, że jeśli realizacja pokojowych zastosowań energii atomowej wymaga (powiedźmy) dziesięciu lat, trzeba je liczyć od chwili rozpoczęcia badań nad tymi zastosowaniami. Toteż chwili tej nie można odwlekać. A jeśli są tacy, którzy się lękają, że Wielka Brytania będzie mogła po prostu skorzystać z wyników, do których dojdą inni, złudzenia te należy jak najszybciej rozwiązać.

Również wstępny artykuł poświęca temu samemu zagadnieniu **The Economist** (1946, nr 5358), zajmując się nie tajnością, lecz bezpieczeństwem. „Minęło właśnie dziewięć miesięcy od kiedy pierwsza bomba atomowa padła na Hiroszimę i, z nie mniej wstrząsającym skutkiem, na świadomość ludzkości. W ciągu tych dziewięciu miesięcy nic nie podważyło pierwszego wrażenia, że odkrycie praktycznych metod rozłupywania jąder postawiło rozumność rasy ludzkiej pod wielkim znakiem zapytania". Ludzkość może się dziś zniszczyć w ciągu jednego dnia i jeśli się temu w porę nie zapobiegnie, prędzej czy później użyje nowego odkrycia do niszczyielskich celów.

„Jest rzeczą znamionną dla naszych czasów — pisze **The Economist** — że te złowroźne fakty nie zwracają na siebie uwagi wszystkich ludzi myślących. Zagadnienie, co robić z atomem, nie przestało ludzi zajmować — o tym nie ma mowy — lecz nie jest w tym stopniu na pierwszym planie, jak nakazywałoby jego olbrzymie znaczenie". Być może, iż straszliwe perspektywy epoki atomowej wydają się zbyt odległe, a może okropności ostatniej wojny były tak wielkie, że nie łatwo sobie wyobrazić, aby następna wojna była o wiele straszniejsza. A przy tym „któż może tu mieć coś do powiedzenia oprócz kilku Amerykanów, kilku Rosjan i może kilku Anglików?”.

„Niemniej jednak — stwierdza **The Economist** — należy bezustannie powtarzać, że jest to najwęższy problemat, przed jakim stoi rasa ludzka; że niebezpieczeństwa są możliwe do uniknięcia, ale bliskie; że uniknąć ich można tylko wysiłkiem zbiorowym, a wysiłek ten wymaga woli, wiary i energii wszystkich ludzi”.

Zagadnieniem energii atomowej od strony etycznej zajęła się komisja wy-

znaczona przez Brytyjską Radę Kościołów, wybrana bardzo starannie. Sprawozdanie, ogłoszone przez nią (*The Era of Atomic Power*. S. C. M. Press Ltd.), jest rozumne i wnikliwe, lecz nie posuwa sprawy, która jest dla moralistów orzechem twardym do zgryzienia. Człowiek, dzierżący w swych rękach potężne narzędzie dobra lub zła, lecz mający grzeszną naturę, to zagadnienie odwieczne. „Aby kościoły miały znaleźć nową odpowiedź, aby uczyniły coś więcej niż podwojenie wysiłków i złożenie jeszcze jednego wyznania wiary, zasady chrześcijaństwa musiałyby się stać polem nowych odkryć w równej mierze jak zasady fizyki”.

Druga próba znalezienia wyjścia pochodzi od techników i jest zawarte w sprawozdaniu przedstawionym rządowi Stanów Zjednoczonych A. P. przez Radę Doradców, która miała opracować plan międzynarodowej kontroli energii atomowej. Sprawozdanie to (*The International Control of Atomic Energy*. Prepared for the Secretary of State's Committee on Atomic Energy by a Board of Consultants. H.M. Stationary Office) jest jasne, trzeźwe i rzeczowe, lecz nie odbiera nadziei. Zaczyna się od stwierdzenia prawie oczywistego, że pozostawienie rozwoju energii atomowej w rękach współzawodniczących, podejrzliwych i niekontrolowanych państw narodowych jest kuszeniem nieszczęścia. Autorzy idą nawet dalej twierdząc, że „nie ma widoków zabezpieczenia się od wojny atomowej w systemie umów międzynarodowych, wykluczających broń atomową, kontrolowanym tylko przez dozór i podobne metody policyjne. Wniosek ten opiera się nie tylko na technicznych, ale również na nierozdzielnych przesłankach politycznych, społecznych i organizacyjnych, jakie wpływają z narzucenia umów narodom, które mają prawo produkować energię atomową, lecz zobowiązują się jedynie nie używać jej do bomb...” Toteż Rada zajęła się znalezieniem innych środków, które by zapewniły bezpieczeństwo pizez kontrolę tak ograniczoną i uproszczoną, aby była wykonalna, i zadanie to udało się jej w dużym stopniu rozwiązać.

Z całym autorytetem naukowym Rada stwierdza, że przez długi jeszcze czas uran pozostanie jedynym surowcem do produkcji energii atomowej. Otóż U^{235} może być tak „zdenaturowany”, aby się nie nadawał do broni atomowych, pozostając zdolnym do niegroźnych zastosowań energii atomowej. „Denaturant” można usunąć, lecz tylko posiadając olbrzymie fabryki, z wielkim nakładem czasu i pieniędzy. Na tych faktach technicznych opiera się plan bezpieczeństwa. Potrzebny jest jeden monopolista, obdarzony ogólnym zaufaniem, który by miał prawo wydobywać uran, produkować U^{235} i eksperymentować z nim w jego „niedenaturowanym” stanie. Państwa narodowe otrzymałyby do dalszych zastosowań tylko uran „denaturowany”.

Takie rozwiązanie upraszcza sprawę znakomicie. W dotychczasowym ujęciu należałoby kontrolować wszystkie fabryki świata. Według planu Rady Doradców wystarczy oddać monopol produkcji „niedenaturowanego” uranu w ręce rządu światowego i ograniczyć się do kontroli kopalń uranu i usuwania „denaturantu”, co jest bez porównania łatwiejsze do przeprowadzenia. Cały zakres niegroźnych zastosowań energii atomowej mógłby być wolny od jakiejkolwiek kontroli.

W ten sposób technicy sprowadzili zagadnienie do technicznie rozwiązalnej skali. Pozostaje zagadnienie polityczne, to zaś jest, jak zawsze było, jądrem sprawy. Widoki stworzenia ciała międzynarodowego, któremu by się narody podporządkowały, są jeszcze bardzo dalekie. Stoimy przed ciekawym dylematem. „Dlaczego w całym świecie ludzie myślący są jednogłośni, że współzawodnictwo narodowe w rozwoju energii atomowej musi doprowadzić do nieodwracalnej klęski, a równocześnie ci sami ludzie, reprezentowani przez ich rządy, są wyjątkowo nieśmiali w poszukiwaniu rozwiązania?”.

Odpowiedź leży może w rozumieniu „międzynarodowości”. Powierzenie energii atomowej ciału „międzynarodowemu” — powiedzmy Radzie Bezpieczeństwa — nie byłoby oddaniem jej rządowi światowemu, lecz podzieleniem między narody — Stany Zjednoczone, Królestwo Zjednoczone, Związek Radziecki, Francję, Chiny, Polskę, Holandię, Australię, Brazylię, Meksyk i Egipt. Byłoby to, jak sądzi (trudno powiedzieć, słusznie czy niesłusznie) **The Economist**, o wiele niebezpieczniejsze niż pozostawienie tajemnicy w posiadaniu jednego państwa, którego nikt poważnie nie może podejrzewać o agresywne zamiary. Rada Doradców, mówiąc o rządzie światowym, miała na myśli nie instytucję międzynarodową, jaką jest Organizacja Narodów Zjednoczonych, lecz instytucję nienarodową, nadnarodową czy pozanarodową, a to coś zupełnie innego.

Tak czy inaczej, zagadnienie pozostaje nierozwiązane. Nie należy się tu dziwić, kończy **The Economist**, że uda się je ominąć, i jest rzeczą konieczną uświadomienie sobie, że nie uda się uniknąć stworzenia ciała naprawdę „międzynarodowego”, które będzie dość prawe, aby objąć monopol atomowy, i dość silne, aby nie dopuścić do złamania go przez jakiegokolwiek naród.

mch

O STOPNIACH I FUNKCJACH NAUKOWYCH W ZSRR

PO PRZYJEŹDZIE do ZSRR i zetknięciu z uczonymi radzieckimi, spotkałem się z zaproszeniem do wygłoszenia wykładu w zakresie mej specjalności w jednym z instytutów, na jakie dzieli się Akademia Nauk ZSRR. Należało przed tym dla ewidencji podać swe personalia naukowe. Od razu ujawniła się poważna trudność przy oddawaniu terminów polskich po rosyjsku. Odpowiedniki dosłowne: profesor, docent, doktor — mają bowiem w ZSRR częściowo inne znaczenie, i jako stopnie naukowe, i jako funkcje. Wydaje się, że będzie rzeczą pożyteczną przedstawić krótko te istniejące różnice, dla łatwiejszego zdania sobie sprawy, jaki „bilecik wizytowy” winien mieć każdy z naukowców polskich przybywając do Związku Radzieckiego, oraz jak należy według naszej terminologii rozumieć tytuły naszych gości radzieckich.

Otóż nic fałszywszego, jak np. identyfikować polski i rosyjski tytuł doktora i docenta. Rosyjski doktor, to najwyższy stopień naukowy, uzyskiwany dopiero po wielu latach pracy, po publicznej obronie dysertacji. Zdarzają się profesorowie uniwersytetów i nawet członkowie Akademii, którzy nie po-

siadają tytułu doktorskiego. Posiadanie doktoratu w ZSRR uprawnia już do wykładania na wyższej uczelni, odpowiada więc mniej więcej naszej habilitacji. I tak samo, jak nasza habilitacja, doktorat rosyjski nie jest jeszcze funkcją (stopniem urzędowym). Można więc polskich habilitowanych docentów uważać za równoznacznych z doktorami rosyjskimi jakiejś specjalności, więc np. docent na wydziale prawa w Polsce — po rosyjsku *doktor juridyckich nauk*. Absolutnie zaś nie można uważać, iż ktoś posiadający polski stopień doktorski może identyfikować swój tytuł z doktoratem rosyjskim. Obecny polski doktorat trzeba by zestawić z używanym w Rosji dawniej, obecnie jednak zniesionym, stopniem magistra nauk. Polskie zaś magisterium — stopień najniższy, odpowiada w ZSRR stopniowi kandydata nauk, więc np. magister filozofii w zakresie historii — *kandidat istoričeskich nauk*.

Z kolei rosyjscy docenci muszą być kandydatami nauk, ale nie muszą być doktorami i wobec tego mogą być zestawieni z istniejącymi u nas niehabilitowanymi wykładowcami kontraktowymi. Wreszcie *priepodawatel* (wykładowca) odpowiada mniej więcej polskiemu lektorowi lub nauczycielowi uniwersyteckiemu.

W ZSRR są inne dwa rodzaje profesorów niż w Polsce: *professor zawiedojuszczij kafiedroj* (kierujący katedrą) oraz *professor pri kafiedrie*. O ile pierwsza kategoria odpowiada naszemu kierownikowi zakładu — profesorowi członkowi rady wydziałowej (zwyczajnemu lub nadzwyczajnemu), o tyle druga może być zestawiona z mowowprowadzoną w Polsce katedrą docentów etatowych. A więc polski docent etatowy patologii odpowiada rosyjskiemu *professor pri kafiedrie patologii*, podczas gdy (zwyczajny lub nadzwyczajny) profesor tego przedmiotu i kierownik odpowiedniego zakładu — to *professor zawiedojuszczij kafiedroj patologii*.

Bardzo wielkie znaczenie, jakie posiadają Akademia Nauk w Związku Radzieckim, z moskiewską Akademią Nauk ZSRR (*Akadiemija Nauk SSSR*) na czele, sprawia, że jej członkowie stale używają przed swym nazwiskiem odpowiedniego tytułu: członek czynny — wyrazu *akademiķ*, korespondenci zaś: *czlen-korrespondent Akademii Nauk*... Tytuł taki, zwłaszcza *akademiķ*, uważany jest za najwyższą godność naukową w ZSRR, wyższą niż doktorat oczywiście, wobec czego nie należy się dziwić, iż znaleźć się może wśród *akademiķów* ktoś formalnie nie mający stopnia doktorskiego. Kryterium balotażu członków jest bardzo ściśle i wymagania stawiane kandydatowi na członka są wyższe niż w wielu instytucjach zagranicznych. Charakter członka czynnego Akademii Nauk stanowi dziś w ZSRR jedną z wyższych godności państwowych.

Zreasumujemy nasze zestawienie:

polski	magister	to	tyle,	co	w	ZSRR	kandydat	nauk
"	doktor	"	"	"	"	"	magister	nauk
"	docent	"	"	"	"	"	doktor	nauk
"	docent etatowy	—	w	ZSRR	profesor	przy	katedrze	
"	profesor	(kierownik	zakładu)	w	ZSRR	profesor	kierownik	katedry
radziecki	kandidat	—	to	tyle	co	polski	magister	
"	doktor	—	"	"	"	"	docent	

- radziecki *docent* — to tyle co polski wykładowca niehabilitowany
 „ *professor pri katedrze* — polski *docent etatowy*
 „ *professor zawiaduszycij katedroj* — profesor członek rady
 wydziałowej i kierownik zakładu.

Jeszcze jedno: o asystentach. *Assistent* w ZSRR to funkcja raczej administracyjna, a nie naukowa. Polskim asystentom odpowiadają zaś *aspiranci*, tj. młodzi naukowcy, otrzymujący stałe uposażenia i przygotowujący się do kariery naukowej, a mający obowiązek prowadzenia wykładów i ćwiczeń. Każda wyższa uczelnia ogłasza corocznie, na równi z osobnymi instytutami naukowymi, konkurs na pewną ilość wolnych miejsc aspiranckich, a starający się o aspiranturę musi posiadać stopień kandydata nauk.

Sądzę, że byłoby interesujące otrzymać podobne informacje także z innych krajów, dla zestawienia ich ze stosunkami panującymi u nas w tej dziedzinie.

Henryk Batowski

PREZYDIUM KOMITETU SŁOWIAŃSKIEGO W POLSCE, WARSZAWA

POWSTAJE UNIWERSYTET RADIOWY

NARZEKA się nieraz na program Polskiego Radia. Trzeba jednak stwierdzić, że czynniki kierujące radiem pragną zmian na lepsze. Wyrazem tych dążeń jest m. in. wznowienie w ostatnich czasach działalności Społecznego Komitetu Radiofonizacji Kraju. Komitet podejmuje zadanie pokrycia możliwie największej liczby miejscowości w całym kraju siecią radiofonii przewodowej. Ale ma też cele głębsze. Wyrazem tego jest art. 5 statutu Komitetu, który oświadcza że „S. K. R. K. jest wyłonionym ze społeczeństwa stowarzyszeniem, którego celem jest popularyzacja polskiej radiofonii. Dąży on do usunięcia zniszczeń moralnych i materialnych, dokonanych przez niemieckiego okupanta, odbudowy kultury i wartości ludzkich w naszym społeczeństwie”. Komitet podejmuje się „zbierania wszelkich opinii i uwag słuchaczy o pracy Polskiego Radia, a szczególnie o programach i planowości radiofonizacji”.

Na pierwszym zjeździe ogólnopolskim w tej sprawie, który odbył się przed niedawnym czasem w Warszawie, dyrektor naczelny Polskiego Radia Wilhelm Billig mówił m. in., że „jednym z naczelných zadań radia jest popularyzacja wiedzy i krzewienia oświaty”. W tym kierunku szły też dezyderaty reprezentantów Dyrekcji Okręgowej w Krakowie i Komitetu Miejskowego z dyr. drem Jerzym Ronardem Bujańskim na czele.

Powyższe zamierzenia Dyrekcji Naczelnej Polskiego Radia, a z dyrekcji okręgowych szczególnie krakowskiej, oraz Społecznego Komitetu Radiofonizacji, łącząc się z życzeniami szerokiich sfer społeczeństwa, doprowadziły ostatnio do pewnych konkretnych postanowień. Warto wspomnieć, że potrzebę popularyzacji nauki, jej osiągnięć i jej metod, rozumieją dobrze takie organizacje społeczne, jak Towarzystwo Uniwersytetu Robotniczego, Towarzystwo Uniwersytetu Ludowego i Związek Samopomocy Chłopskiej. I otóż na konferencji naukowej, która odbyła się 6 czerwca br. w siedzibie Dyrekcji

Okręgowej P. R. w Krakowie, doszło w wyniku dłuższej dyskusji do swego rodzaju proklamowania przez dyr. nac. Billiga „uniwersytetu radiowego” w skali do tej pory u nas nie stosowanej. Na konferencji zebrali się licznie przedstawiciele świata nauki z Prezesem P.A.U. prof. K. Nitschem i rektorem U.J. T. Lehrem-Splawińskim na czele. Wagę zebrania podkreślał fakt wzięcia w nim udziału także przedstawicieli władz, wojewody krakowskiego dra K. Pasenkiewicza, prezydenta miasta S. Wolasa. Po zagajeniu dyr. Bujańskiego, który stwierdził, jak szczególnie doniosła jest rola radia w obecnej rzeczywistości polskiej, tezy programowe dotyczące popularyzacji nauki przez radio przedstawił przewodniczący Wojewódzkiego Komitetu Radiofonizacji dr Bogusław Leśnodorski. Radio powinno zmierzać do upowszechnienia osiągnięć nauki w drodze systematycznych cykli wykładów o stałych terminach z poszczególnych gałęzi wiedzy, ale także szerzyć zrozumienie wartości i potrzeby zasadniczej postawy naukowej i metod naukowych w różnych dziedzinach życia. W okresie przebudowy społecznej i starań o wychowanie nowego człowieka jest to szczególnie ważne (np. propagowanie zasad naukowej organizacji pracy). Na wzór praktykowanych w Anglii swobodnych rozmów przy mikrofonie czołowych przedstawicieli nauki, tzw. trustu mózgów radia brytyjskiego (Julian Huxley, C. E. M. Joad i inni), należałoby też, choćby w drodze eksperymentu, rozbudować i u nas tego rodzaju dyskusje na temat wybieranych przez radiosłuchaczy zagadnień. Zasadą byłoby tutaj mówienie „bez kartki”.

O powstaniu, powodzeniu i rozwoju pracy powyższego „trustu mózgów” czytamy w nr. 119 z marca 1945 czasopisma **Britain to-day**. Autor artykułu, jeden z założycieli „trustu”, C. E. M. Joad pisze, że u podstawy całej akcji leżały trzy powody. Pierwszy stanowi fakt, że wbrew wszelkim pozorom istnieje sporo ludzi którzy mają niezaspokojone poważne zainteresowania. Po drugie, system oficjalnego nauczania nie wyczerpuje wszystkich potrzeb społeczeństwa. „Niewątpliwie, pisze Joad, trust mózgów zaofiarowuje raczej *hors d'oeuvres* niż mięso, ale te właśnie *hors d'oeuvres* spożywane zostają przez milion radiosłuchaczy i apetyty ich rosną...” Po trzecie, trust mózgów usuwa pewne sztywne przegrody pomiędzy B.B.C. (radiem brytyjskim) a publicznością. Dyskutuje się tu otwarcie i nieprzymuszenie na różne tematy, które interesują słuchaczy, np. jak powstało życie, co to jest postęp itp. I stanowi to pożądaną, jak się okazuje, nowość.

W dalszym ciągu konferencji krakowskiej dyr. Billig podniósł w swoim przemówieniu, że jeśli radio przed wojną służyło przede wszystkim za rozrywkę, to obecnie jego zadaniem jest „mobilizacja narodu za pomocą radia do stworzenia fundamentów pod demokratyzację kultury, pod nową kulturą najszerzych mas”. Dyr. Billig zapewnił zebranych, że dyrekcja naczelna docenia znaczenie krytyki, która jest „powietrzem” dla twórczej pracy, i pragnie dawać w programie radiowym „prawdę opartą o podstawy naukowe”. W związku z tym życzeniem Polskiego Radia jest nawiązanie ścisłej współpracy ze światem nauki polskiej oraz podjęcie realnych prac nad utworzeniem „uniwersytetu radiowego” o szczególnych zadaniach. W dyskusji poruszono także potrzebę urządzania wykładów radiowych z zakresu nauki

w skali międzynarodowej w drodze wymiany prelegentów i odczytów. Rzetelne pojęcia moralne i naukowe, propagowane na drodze radiowej, służyć mają odbudowie zniszczeń wojennych i postępowi. Z paru stron wysunięto w dyskusji propozycję, by organizatorem polskiego „trustu mózgów” przy mikrofonie został redaktor **Życia Nauki**.

W końcowym słowie zapowiedział dyr. Billig powołanie przy dyrekcjach okręgowych rad programowych, złożonych z przedstawicieli nauki, literatury, muzyki, oświaty dorosłych itd., zanim jeszcze zorganizowana zostanie Państwowa Rada Radiowa.

Należy sobie życzyć, by Polskie Radio istotnie rozwinęło poważnie wspomnianą dziedzinę swych prac, oddziałując dodatnio na szerokie sfery naszego społeczeństwa. Jest jednak równocześnie rzeczą jasną, że nie wystarczy tu wysiłki poszczególnych dyrekcji okręgowych (jak np. w Krakowie dyr. Bujańskiego i kierownika referatu odczytowego prof. U.J. H. Mościckiego), ale potrzebna jest akcja planowa w skali ogólnopolskiej.

NAUKA W KRAJU

Towarzystwa naukowe i instytucje badawcze

POLSKIE TOWARZYSTWO EKONOMICZNE

W PIERWSZYCH dniach grudnia zeszłego roku odbył się w Łodzi zjazd ekonomistów z całej Polski, na którym uchwalono utworzyć, w miejsce istniejących przed wojną towarzystw ekonomicznych w poszczególnych ośrodkach, jedno ogólnopolskie Towarzystwo Ekonomiczne. Zarząd główny ma swą siedzibę w Warszawie, a poszczególne oddziały w Krakowie, Łodzi, Lublinie, Poznaniu i Warszawie. W skład nowowybranego zarządu głównego wchodzi: prof. Edward Lipiński jako prezes, prof. Stefan Zalewski i prof. Witold Krzyżanowski jako wiceprezesi, prof. K. Secomski jako skarbnik i dr Zygmunt Filipowicz jako sekretarz generalny. Ponadto utworzono radę naukową w składzie: prof. Adam Krzyżanowski — prezes, prof. Edward Taylor — wiceprezes i prof. E. Lipiński — sekretarz.

Zjazd stwierdził ogromne straty wśród ekonomistów polskich, z których wielu zginęło w obozach koncentracyjnych lub wskutek prześladowań nauki i uczonych polskich przez Niemców. Wspomnieć tu należy o naukowcach takiej miary jak A. Heydel, L. Górski, R. Rybarski, J. Libicki, ks. A. Szymański. Obok tych strat zginęło lub rozproszyło się po świecie wielu innych, co przy szczupłym narybku stawia naukę ekonomii w sytuacji trudnej, zwłaszcza jeśli chodzi o obsadzenie tak licznie powstających nowych szkół wyższych. Tymczasem zadania stojące przed nami w chwili obecnego wielkiego przewrotu społecznego są ogromne, a potrzeby życia odrywają często szereg wybitnych sił do zagadnień aktualnych i praktycznych.

Celem nowopowstałego Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego jest rozwój wiedzy ekonomicznej przez popieranie działalności badawczej, odczytowej i wydawniczej, organizowanie współpracy członków towarzystwa na terenie naukowym i zawodowym i współpraca z pokrewnymi organizacjami krajowymi i zagranicznymi. Towarzystwo nawiązało już pewne kontakty, ale ogromną bolączką jest zniszczenie księgozbiorów przez Niemców w czasie wojny i brak wydawnictw z czasu wojny i powojennych. Nawiązanie kontaktów z pokrewnymi organizacjami za granicą, regularna wymiana wydawnictw, regularny zakup czasopism i książek zagranicznych jest pierwszym warunkiem odbudowy naszych zniszczonych warsztatów pracy.

Towarzystwo postawiło sobie za cel, po pierwsze, wznowienie przerwanego w czasie wojny wydawnictwa **Ekonomisty**, a dalej wydawanie obok niego drugiego czasopisma periodycznego, mającego poruszać zagadnienia aktualne i praktyczne. Obok tego istnieją w poszczególnych ośrodkach projekty i przygotowania celem wydawania prac ekonomicznych, których wiele leży, cudem ocalonych, w rękopisach. Jak jest pod tym względem źle niech wskaże fakt, że do tej pory — poza jednym wyjątkiem — nie ukazało się w powojennej Polsce ani jedno dzieło ekonomiczne. Prace doktorskie i habilitacyjne

leżą niewydrukowane, a tymczasem istnieje ogólny głód książek, które by te tematy oświećlały. Daje się odczuwać dalej palący brak podręczników uniwersyteckich, które zastępują doraźnie powielane skrypty. Ukazują się wprawdzie artykuły ekonomiczne w pewnych pismach periodycznych, ale nie mogą one zastąpić braku poważnych, źródłowych publikacji naukowych i podręczników dla uczącej się młodzieży.

Działalność Towarzystwa rozбивa się dalej o brak funduszków. Zarząd główny projektuje w Warszawie odbudowanie z gruzów domu, który byłby centralą akcji naukowej i wydawniczej, ale jest to na razie muzyka przyszłości, którą dopiero za lat parę może się da zrealizować. Dalej troski materialne słabo wynagradzanych naukowców nie pozwalają im zająć się w spokoju działalnością naukową, od której ich odrywa praca pedagogiczna przy palącym braku i małym wynagrodzeniu pomocniczych sił naukowych. Dla rozwinięcia owocnej, a tak potrzebnej w obecnej chwili działalności Towarzystwo potrzebuje funduszków, które by istniejącym siłom naukowym pozwoliły dać odpowiednio wysokie stypendia i zasiłki, aby ich zwolnić na okres studiów od ciężkiej pracy zarobkowej.

Prace ekonomistów polskich w obecnej chwili koncentrują się na zagadnieniach dotyczących historii gospodarczej wojny na ziemiach naszych oraz nad teoretycznymi i praktycznymi zagadnieniami gospodarki planowej, realizowanej w naszym kraju. Leży na nich, jeśli zostaną w należytej mierze dopuszczeni do głosu przy podejmowaniu decyzji, w pewnej mierze odpowiedzialność za kierunek i typ gospodarki naszego kraju. W obecnej chwili poszczególne oddziały Towarzystwa urządzają w gronie swych członków i zaproszonych gości odczyty dyskusyjne poruszające, np. w ośrodku krakowskim, tematy takie jak „Teoretyczne podstawy gospodarki planowej” (W. Krzyżanowski), „Szanse układu monetarnego w Bretton Wood na tle gospodarki światowej” (F. Młynarski), „Planowanie jednego zatrudnienia” (B. Oyrzanowski).

Witold Krzyżanowski

ZAKŁAD EKONOMII, STATYSTYKI I SKARBOWOŚCI U. J., KRAKÓW.

PAŃSTWOWY ZAKŁAD HIGIENY

PAŃSTWOWY Zakład Higieny jest fachowo-naukowym organem Ministerstwa Zdrowia, którego głównym zadaniem jest opracowywanie zagadnień związanych z publiczną służbą zdrowia. Na ogólną ilość 1064 zatrudnianych pracowników P.Z.H. posiada 165 wysoko wyspecjalizowanych pracowników naukowych z wyższym wykształceniem, spośród których wielu prowadzi równocześnie katedry w polskich uczelniach wyższych.

Państwowy Zakład Higieny odbudował się szybko po obecnej wojnie i w chwili obecnej składa się z centrali w Łodzi oraz 11 zakładów filialnych w miastach wojewódzkich. W trzech województwach, mianowicie rzeszowskim, zachodnio-pomorskim i mazurskim, które nie posiadały jeszcze filii P.Z.H., organizacja ich jest w pełnym toku.

Państwowy Zakład Higieny posiada również 5 zakładów produkcyjnych, które pracują niezależnie od filii P.Z.H. Zaopatrują one państwo w surowice lecznicze i szczepionki, przy czym produkcja szczepionek pokrywa w zupełności zapotrzebowania państwowe, zaś w zakresie surowic osiągniemy samowystarczalność od połowy 1946 r.

Na czele Państwowego Zakładu Higieny stoi obecnie prof. dr Feliks Przymycki, organizator zakładu w dobie powojennej.

W Zakładzie Produkcji P.Z.H. w Krakowie odbywają się również posiedzenia naukowe. W posiedzeniu takim w dniu 9.IV.1946 wzięli udział pracownicy naukowcy P.Z.H. oraz zaproszeni specjaliści ze sfer uniwersyteckich i lekarskich. Referaty naukowe. poruszające zagadnienia penicyliny, biologii zarazka dżuru osutkowego, oraz nowych metod szczepień ochronnych przeciw durowi brzusznemu wygłosił kierownik Zakładu dr Z. Przybyłkiewicz oraz asystenci dr dr T. Korzybski, W. Kuryłowicz i St. Słopek. Po referatach rozwinęła się ożywiona dyskusja.

P.Z.H. ZAKŁAD PRODUKCJI W KRAKOWIE

Zjazdy, konferencje i wystawy

KONFERENCJA PREHISTORYKÓW POLSKICH

DONIOSŁE znaczenie badań w zakresie archeologii prehistorycznej i wczesnodziejowej ziem Polski, zwłaszcza po sześcioletniej, niszczącej zabytki wojnie i w obecnej rzeczywistości państwowej Rzeczypospolitej, zniewala do przemyślenia i przedyskutowania spraw organizacji i dalszego rozwoju tej nauki w Polsce. Toteż na zaproszenie nestora i przodownika prehistoryków polskich prof. Józefa Kostrzewskiego zwołano do Poznania I konferencję w tych sprawach.

W konferencji poznańskiej w dn. 26 i 27.VIII.1945 r. wzięli udział, oprócz organizatora i równocześnie przewodniczącego zebrań, Wł. Antkiewicz z Warszawy, G. Leńczyk z Krakowa, K. Jażdżewski z Łodzi, Z. Rajewski z Poznania i K. Żurawski ze Śląska. Prof. Kostrzewski zaznaczył na wstępie, że celem tej konferencji jest wyjście z impasu wojennego w dziedzinie prehistorii i powzięcie uchwał jedynie na okres przejściowy, powojenny, aż do unormowania się stosunków gospodarczych i naukowych. Wszystkie uchwały powzięto jednomyślnie.

Jednym z najpilniejszych postulatów jest utworzenie państwowych urzędów konserwatorskich zabytków archeologicznych z siedzibą przy głównych muzeach prehistorycznych w Polsce. Najbardziej celowy byłby podział Polski na następujące okręgi konserwatorskie: warszawski, łódzki, lubelski, krakowski, poznański, śląski, pomorski, mazurski. Urzędy te, zorganizowane w Warszawie, Lublinie, Łodzi, Krakowie, Poznaniu, Wrocławiu, Gdańsku i Olsztynie, należy wkomponować w całość służby ochrony zabytków, podległy organizacyjnie Naczelnej Dyrekcji Muzeów i Zabytków przy Ministerstwie Kultury

i Sztuki. Warunkiem jednak sprawności i rzeczowości kierowania ochroną zabytków archeologicznych jest nieodzowny główny konserwator, prehistoryk, pod którego bezpośrednim kierownictwem będą pracować konserwatorzy okręgowi.

Drugą niezwykle doniosłą i pilną sprawą jest porządkie, na wysokim poziomie, zorganizowanie głównych muzeów archeologicznych w Polsce. Państwowe Muzeum Archeologiczne w Warszawie jest instytucją centralną, a więc mającą prawo prowadzenia badań i gromadzenia zbiorów zabytków na całym obszarze Rzeczypospolitej. Inne muzea prehistoryczne w Krakowie, Wrocławiu, Poznaniu, Łodzi, Gdańsku, Olsztynie i Lublinie mają charakter regionalny i winny opiekować się mniejszymi muzeami czy zbiorami archeologicznymi na obszarze swojego działania. Za podstawowe obowiązki muzeów uznaje konferencja: gromadzenie i konserwację zabytków, prowadzenie ich inwentarza i katalogu, prowadzenie systematycznych badań terenowych, zwłaszcza na zagrożonych zniszczeniem stanowiskach, opracowywanie naukowe, publikowanie i udostępnianie wyników badań naukowych szerokim rzeszom społeczeństwa. Dla tych celów jest rzeczą nieodzowną, aby każde muzeum archeologiczne, zwłaszcza w Warszawie, miało własne obszerne lokale czy gmachy, mieszczące sale zarówno na urządzenie zbiorów naukowych, jak i niemniej przejrzystych magazynów naukowych, pracowni naukowych i technicznych. Z uwagi zaś na wysoki poziom muzeów archeologicznych na ziemiach odzyskanych przed wojną, nie można dopuścić do obniżenia go obecnie, tak z przyczyn naukowych jako też reprezentacyjnych wobec świata.

Jedynie Państwowe Muzeum Archeologiczne posiada dotychczas swój statut. Należy również dla muzeów okręgowych opracować jednolite statuty, normujące ich znaczenie i obowiązki; opracowania takiego wzorowego statutu podjął się J. Kostrzewski.

Niewystarczające na razie środki finansowe, jakimi dysponują muzea archeologiczne, na szerzej pojętą działalność w zakresie konserwacji zabytków, zniewalają do uruchomienia jednej na razie, przy Muzeum Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie, wzorowej pracowni konserwatorskiej pod kierownictwem Tadeusza Reymana. Będzie ona miała też za zadanie szkolenie preparatorów zabytków dla innych muzeów.

Od dawna projektowano w Polsce utworzenie *Polskiego Instytutu Prehistorycznego* jako naczelnej instytucji badawczej i reprezentacyjnej. Konferencja doszła do przekonania, że powołanie do życia i działania takiej instytucji w chwili obecnej jest niemożliwe. Brak na to potrzebnej ilości fachowych pracowników naukowych, koniecznych środków finansowych i nieodzownego gmachu. Natomiast w myśl wprowadzanych w życie państwowe i naukowe zasad demokratycznych, konferencja uważa za bardzo celowe i pilne utworzenie, jako naczelnego organu planującego i opiniodawczego w zakresie prehistorii polskiej, *Państwowej Rady Prehistorycznej* przy Ministerstwie Kultury i Sztuki. W skład tej Rady winni wchodzić profesorowie i docenci pre- i protohistorii na uniwersytetach, dyrektorzy i kustosze głównych muzeów archeologicznych oraz konserwatorzy zabytków archeologicznych.

Równocześnie z posiedzeniami Państwowej Rady Prehistorycznej można by

raz do roku zwoływać zjazdy prehistoryków polskich w celu omawiania i ujednolicenia metod pracy naukowej oraz przedstawiania ostatnich wyników badań.

Ogłaszanie prac naukowych i opisów rezultatów poszukiwań terenowych, przeglądów badań w kraju i na ziemiach słowiańskich, sprawozdań z kongresów międzynarodowych, zestawień bibliograficznych, recenzji literatury i notatek kronikarskich z dziedziny archeologii prehistorycznej i wczesnodziejowej, wymaga uporządkowania spraw wydawniczych w poszczególnych ośrodkach uniwersyteckich. Konferencja wysunęła kilka postulatów podziału pracy i specjalizacji między ośrodkami: warszawskim, krakowskim i poznańskim.

Barbarzyńskie rabunkowe wywożenie najcenniejszych zabytków z Polski do Niemiec, bezprzykładnie wprost praktykowane przez okupanta w PMA w Warszawie i w Muzeum Prehistorycznym w Poznaniu, zniewała do podjęcia energicznych starań o powrót tych bezcennych skarbów do muzeów naszych. Za zniszczone zabytki, biblioteki i pomoce naukowe w Polsce należy się naszym instytucjom odszkodowanie w naturze. Normy tych rewindykacji i odszkodowań w zakresie archeologii zostały opracowane przez Biuro Rewindykacji i Odszkodowań Naczelnej Dyrekcji Muzeów i Ochrony Zabytków.

Prostowanie pseudonaukowych kłamstw niemieckich o zaludnieniu ziem Polski w czasach prehistorycznych i wczesnodziejowych wymaga umiejętnej propagandy naukowej. Najwłaściwszą w tym względzie metodą jest przeciwstawianie fałszom niemieckim prawdy na zasadzie ściśle rzeczowych badań i opracowań. Niezmiernie doniosłą a zaniedbaną dotąd dziedziną jest specjalne studium zabytków i zagadnień prasłowiańskich, wczesnosłowiańskich i prapolskich. Konferencja, uznając kluczową pozycję ziem Polski w tym zakresie, wysuwa konieczność usprawnienia i przyspieszenia prac terenowych, opisowych i całokształtnych, zwłaszcza odnośnie do epoki wczesnohistorycznej w Polsce. W tym celu, zdaniem konferencji, należy przy uniwersyteckich katedrach pre- i protohistorycznych utworzyć *Instytuty Badań Starożytności Słowiańskich*, ogniskujących również prace w tej dziedzinie katedr sławistycznych i historycznych. Podział terenów i zagadnień badawczych oraz specjalnych funduszy na te wyspecjalizowane i zespołowe badania i ich publikacje winien być dokonywany przez Państwową Radę Prehistoryczną.

Wśród licznych aktualnych uchwał konferencji zasługują jeszcze na uwagę sprawy uczestnictwa w międzynarodowych kongresach nauk prehistorycznych, wznowienia działalności Polskiego Towarzystwa Prehistorycznego z oddziałami w większych ośrodkach archeologicznych, tworzenia akademickich kół prehistoryków oraz ugruntowania i wzmocnienia znaczenia i rozwoju związku zawodowego historyków sztuki i kultury (prehistoryków, archeologów i etnografów), już powołanego do życia.

Konferencja poznańska nie rości sobie zgola pretensji do ostatecznego rozstrzygnięcia wszystkich omawianych spraw organizacji i perspektyw rozwoju prehistorii w Polsce. Zapoczątkowała ona jednak dyskusję na temat najważniejszych i najpilniejszych potrzeb tej nauki i w dokładnym sprawozdaniu, opublikowanym w zesz. 9—12 pisma *Z otcłianí wíeków* (Rok XIV, 1945), dała poważny materiał do dalszych rozważań organizacyjnych.

Wydaje się niezwykle potrzebnym, aby przy końcu r. 1946 zwołać do Warszawy II konferencję albo raczej zjazd prehistoryków polskich dla dokładnego opracowania zasad planowej polityki naukowej w zakresie prehistorii na ziemiach Polski i w sprawie należytego podziału faktycznego i hierarchicznego między poszczególne ośrodki archeologiczne badań terenowych na najważniejszych stanowiskach pre- i protohistorycznych, wzorowo prowadzonych przy pomocy funduszków państwowych.

W. A.

POKAZ NOWSZYCH MAP TOPOGRAFICZNYCH

W DNIACH od 19 do 23 marca odbył się w Instytucie Geograficznym Uniwersytetu Jagiellońskiego I pokaz map topograficznych wydanych w ostatnich latach. Wystawa została zorganizowana przez dyrektora Instytutu Geograficznego, prof. dra Stanisława Leszczyckiego. Otwarcia dokonał dziekan Wydziału Humanistycznego U. J. prof. Jan Dąbrowski, poczem prof. Leszczycki oprowadził po wystawie zgromadzonych studentów, współpracowników oraz gości, omawiając poszczególne mapy.

Wystawione były 172 mapy o powierzchni 78,4 m², będące próbką nowszej kartografii oficjalnej 22 państw. Wystawa obejmowała 8 działów. I. Mapy przeglądowe w podziałce 1:1.000.000 i 1:4.000.000, głównie normalne arkusze mapy międzynarodowej 1:1.000.000, wykonane jednolitą metodą. W dziale tym zwracał uwagę arkusz Turfan, opracowany przez słynnego podróżnika i badacza środkowej Azji, Svena Hedina. Z większych arkuszy wyróżniały się Indie i Finlandia. II. Mapy przeglądowe 1:500.000 dawały przegląd od map warstwowych poprzez warstwowo-cieniowane do map plastycznych. Osobno wyróżniała się mapa Egiptu, ilustrująca rozmieszczenie ekumeny, studni oraz pustyń piaszczystych. III. Mapy 1:300.000 obejmowały szereg arkuszy z terenu Europy, wykonanych odmiennymi metodami. IV. Studium porównawcze map polskich składało się z map oryginalnych w podziałkach 1:25.000, 1:50.000, 1:100.000 i 1:300.000, oraz różnego rodzaju przedruki niemieckie i angielskie. V. Kartografia państw słowiańskich: Czechosłowacji, Jugosławii, Bułgarii i ZSRR. Wyróżniała się mapa z terenu Czechosłowacji w podziałce 1:100.000. VI. Kartografia państw skandynawskich: Danii, Norwegii, Szwecji i Finlandii, ze szczegółowymi zdjęciami z Grenlandii i Islandii. VII. Z innych państw wystawione były mapy Szwajcarii, Austrii, Węgier, Rumunii, Grecji, Włoch, Hiszpanii, Francji, Belgii, Holandii, Niemiec, Turcji, Egiptu, Stanów Zjednoczonych i Kanady. Wśród nich wyróżniały się mapy Szwajcarii, najlepsze dla terenów górskich. Z dat opracowania poszczególnych arkuszy można było wnioskować, że rozwój kartografii idzie w kierunku map barwnych i plastycznych. VIII. Dział map turystycznych. Powszechne zainteresowanie budziły 3 mapy angielskie, sporządzone do celów inwazyjnych, do bombardowania, do nocnych lotów i do lądowania.

Wystawę zwiedziło 960 osób, w tym 18 wycieczek szkolnych i akade-

mickich (1 spoza Krakowa). Spełniła ona ważne zadanie dydaktyczne, gdyż umożliwiła studentom, młodzieży szkolnej i szerokiemu społeczeństwu zapoznanie się z mapą szczegółową po okresie okupacji niemieckiej, w czasie której nie można było z niej korzystać. Wystawa była dostępna bezpłatnie dla każdego, grupy korzystały z fachowego wykładu.

Karol Bromek

INSTYTUT GEOGRAFICZNY U.J., KRAKÓW

ZJAZD POLSKIEGO TOWARZYSTWA ZOOLOGICZNEGO

W DNIACH 25—27 kwietnia br. odbył się w Krakowie I powojenny Zjazd P.T.Z., który skupił około 70 osób reprezentujących polskie ośrodki uniwersyteckie i instytuty naukowe. Zgodnie z programem, odbyło się walne zebranie P.T.Z., które po przyjęciu sprawozdania zarządu z dotychczasowej działalności dokonało wyboru nowych władz w składzie następującym: prezes — prof. W. Stefański, wiceprezesi — prof. Z. Grodziński i doc. M. Gieysztor, sekretarz — doc. H. Szarski, zast. sekr. — mgr. I. Łukasiewiczówna, skarbnik — prof. A. Dziurzyński, zast. skarb. — dr. J. Wilburg, redaktor wydawnictw — prof. G. Poluśzyński.

Doc. M. Gieysztor zobrazował straty osobowe i rzeczowe zoologii polskiej, zestawiając liczbę 225 zoologów pracujących naukowo i publikujących w roku 1939 (uwzględniając pracowników naukowych niepublikujących otrzymamy liczbę 309 zoologów w r. 1939) z liczbą zmarłych (55) lub nieobecnych (26), wynoszącą 81 pracowników zespołu nauk zoologicznych. Jednocześnie prelegent podkreślił zahamowanie w okresie wojennym zarówno produkcji naukowej, jak i kształcenia narybku naukowego. W wyniku referatu postanowiono opracować szczegółowo straty osobowe i rzeczowe również na użytek zagranicy oraz restytuować Wigierską Stację Hydrobiologiczną.

Tematem dalszych konferencji zebrania były sposoby najważniejszego zorganizowania na odpowiednim poziomie nauk zoologicznych. Dyskusja, po zreferowaniu przez prof. S. Smreczyńskiego i doc. M. Gieysztora sprawy publikacji zoologicznych, doprowadziła do wniosków dotyczących odbudowy zoologicznego periodycznego piśmiennictwa naukowego, która powinna zmierzać w kierunku wydawania mniejszej niż dawniej liczby poważnych periodyków naukowych, w miarę możliwości o wyraźnym obliczu specjalnym, wznowienia przede wszystkim czasopism o ustalonej tradycji naukowej oraz ogłaszania prac w językach obcych z polskim streszczeniem, ponieważ czołowe czasopisma, wznowione przez P.T.Z., powinny służyć głównie naszej ekspansji kulturalnej.

Referat prof. Grodzińskiego (Szkolenie młodych sił naukowych) wysunął przyjęte przez uczestników zebrania wytyczne pracy: 1) Naukowcy-przyrodnicy potrzebni są społeczeństwu przede wszystkim do rozwiązywania różnych zagadnień naukowych, później zaś do popularyzowania wiedzy i do służenia swymi teoretycznymi wiadomościami przemysłowi, rolnictwu i medycynie.

2) Szkolenie naukowców jest długie, trudne i kosztowne; etapy: magister, doktor, docent stanowią siła, które selekcionują coraz wartościowszy materiał. 3) Podstawowe wykształcenie naukowca jest encyklopedyczne w obszernym wachlarzu nauk. Specjalizacja powinna mieć raczej szeroki niż ciasny charakter. 4) Szczególny nacisk należy położyć na opanowanie szeregu metod badawczych i na pracę w różnych pracowniach krajowych i zagranicznych. 5) Dla zrealizowania planu szkolenia naukowców potrzebna jest pomoc pieniężna ze strony państwa, poprzez np. Fundusz Kultury Narodowej. Należy także, zwłaszcza dziś, korzystać skwapliwie z pomocy *British Council* *Rockefeller Foundation*.

Na wniosek referenta, prof. W. Stefańskiego, omawiającego zagadnienia nagród naukowych, ustalone zostały dwie kategorie nagród: pierwsza — za najlepszą pracę wykonaną na temat wyznaczony przez wybraną przez zarząd P. T. Z. komisję, druga — za najlepszą pracę złożoną w rękopisie lub drukowaną w okresie między jednym a drugim walnym zebraniem P.T.Z. W roku bieżącym nagrodę otrzyma najcenniejsza praca wykonana w okresie od września 1939 do maja 1945 roku, a liczbę i wysokość nagród ustali komisja w porozumieniu z zarządem.

W zrozumieniu ważności zagadnienia polskiej terminologii zoologicznej, referowanego przez dra J. Ruskowskiego, została wybrana komisja, w skład której weszli dr J. Ruskowski, doc. R. Wojtusiak i dr St. Feliksiak, dla ustalenia polskiego mianownictwa niezbędnego dla przedmiotów nauczania szkolnego, prac laboratoryjnych oraz szkodników i zwierząt pożytecznych w rolnictwie, leśnictwie, przemyśle itp. W związku z pismem Ministerstwa Oświaty w sprawie podręczników akademickich po dyskusji przyjęto wniosek wydania przede wszystkim II tomu podręcznika E. Godlewskiego *Embriologia*, następnie innych, przygotowanych już do druku lub niezbędnych, bez wyznaczania kolejności, wreszcie II tomu książki J. Sokołowskiego *Ptaki ziem polskich*.

Przegląd filmów naukowych, pokazanych uczestnikom zjazdu (Fragmenty z życia małp, pierwotniaków, krążenie plazmy w komórkach roślinnych, brudzkowanie jaj u królika), umocnił przekonanie o konieczności rozwoju tej niedostatecznie u nas rozpowszechnionej pomocniczej metody pracy o pierwszorzędym znaczeniu naukowym i dydaktycznym.

Poza sprawami organizacyjnymi, w części zjazdu poświęconej zagadnieniom naukowym, referaty wygłosili: doc. B. Szabuniewicz (Bioaktywne białka), który stwierdzając narodziny nauki o żywym białku omówił enzymy, hormony i witaminy; dr J. Ackermannówna (Fizyczno-chemiczna budowa substancji żywej), prof. M. Bogucki (Organizacja morskich badań biologicznych w Polsce), uzasadniający, że wobec powiększenia dostępu do morza mamy znacznie większe możliwości badań i musimy zorganizować filie Stacji Morskiej na wybrzeżu i zaopatrzyć je w odpowiedni sprzęt i urządzenia; prof. J. Mydlarski, którego referat (Zagadnienie filogenezy u człowieka) był uzgodnieniem pewnych tez dotyczących dynamizmu ewolucji na podstawie paleontologii i genetyki; tezy te znalazły potwierdzenie w referacie prof. T. Marchlewskiego (Z nowszych ujęć genetycznych), zapowiadającym zniesienie rozdźwięku mię-

dzy genetyką a paleontologią i anatomią w poglądach na procesy ewolucyjne. Prof. F. Pautsch w swym referacie (Zagadnienie zmiany barw u zwierząt), omówił odwracalne zmiany fizjologiczne i trwałe — morfologiczne, oraz ich przebieg i przyczyny powstawania.

Streszczenia prac przygotowanych do druku lub już wydrukowanych miały być przeglądem dorobku naukowego zoologów polskich z okresu wojny. Nie był on jednak kompletny, ponieważ nie wszystkie zakłady i instytuty nadesłały posiadany materiał. Zgłosiły prace następujące ośrodki naukowe: Uniwersytet Jagielloński, Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, Instytut Naukowy Gospodarstwa Wiejskiego i Państwowy Instytut Weterynaryjny w Puławach, Morskie Laboratorium Rybackie w Gdyni, Uniwersytet Poznański, Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu.

Na zakończenie obrad przez akklamację przyjęto wnioszek prof. T. Vetulaniego treści następującej: Walne zgromadzenie członków P.T.Z. piętnuje wobec całego świata zbrodnie niemieckich zoologów, popełnione na nauce polskiej przez grabież mienia i dorobku naukowego z dziedziny zoologii podczas okupacji i zwraca się do decydujących czynników: 1) o przyspieszenie wszczętej rewindykacji wywiezionego z Polski mienia zoologicznego oraz 2) o wszczęcie kroków zmierzających do ukarania winnych.

W ramach zjazdu P.T.Z. odbyło się zebranie Polskiego Oddziału Międzynarodowego Towarzystwa Ochrony Żubra. Według sprawozdania dyr. J. Zabińskiego nasz obecny stan posiadania przedstawia się następująco: w Białowieży znajduje się 17 sztuk, w Pszczynie — 19 sztuk, w Niepołomicach — 4 sztuki. Koniecznym warunkiem prowadzenia hodowli jest dobre i właściwe żywienie posiadanych żubrów, odrestaurowanie rezerwatu niepołomickiego, stworzenie 1—2 rezerwatów nowych — mateczników, gdzie publiczność nie miałaby wstępu, a umieszczenie nadmiaru żubrów-byków w specjalnym rezerwacie pokazowym. Na zebraniu wybrano również nowy zarząd oddziału z dyr. J. Zabińskim jako prezesem na czele.

Eugenia Erdman

ZAKŁAD ZOOLOGII SZCZEGÓŁOWEJ U.M.C.S., LUBLIN

Kronika

NA ZIEMIACH ODZYSKANYCH miasta mają stworzyć sobie archiwa historyczne od czasów dawniejszych aż do obecnych (w miarę posiadanych dokumentów) i w przyszłości gromadzić wszystkie akta i kroniki.

MINISTER WYCECH dokonał 10.4. uroczystej inauguracji roku akademickiego na Politechnice Gdańskiej.

KOMISJA WERYFIKACYJNO-KWALIFIKACYJNA dopuściła w Krakowie w ciągu kadencji jesiennej i zimowej 206 kandydatów bez matury do studiów wyższych (w roku ubiegłym na rok wstępny Uniwersytetu Jagiellońskiego zapisało się około 20 słuchaczy).

AKADEMIA GÓRNICZA w Krakowie współpracuje z przemysłem hutniczym; odbyła się konferencja, dotycząca zapotrzebowania absolwentów przez przemysł, z udziałem przedstawicieli hutnictwa i studentów lat wyższych.

ZWIĄZEK BIBLIOTEKARZY I ARCHIWISTÓW, Koło Krakowskie, wybrał nowy zarząd i utworzył nowe sekcje.

W LUBLINIE reaktywowany został Instytut Lubelski, będący związkiem stowarzyszeń ważnych dla kultury.

DZIELNICA UNIWERSYTECKA dla U.M.C.S. w Lublinie ma objąć 17 ha; Miejska Rada Narodowa powzięła definitywną uchwałę dnia 3. 4.

POWSTAŁO w Lublinie Towarzystwo Przyjaciół U.M.C.S., do którego wpisała się między innymi Wojewódzka Rada Narodowa, opłacając wkładkę za cały rok i uchwalając subwencję jednorazową 50.000 zł.

TOWARZYSTWO UNIWERSYTETU ŁÓDZKIEGO obchodziło rocznicę powstania.

W ŁODZI powstała szkoła prawnicza Ministerstwa Sprawiedliwości, która będzie szkoliła prawników — sędziów, prokuratorów i asesorów sądowych. Według dekretu z lutego br. Ministerstwo Sprawiedliwości może na takie stanowisko mianować osoby nie posiadające studiów uniwersyteckich.

W ŚWIDRZE pod Warszawą zmarł znany fizyk polski, Stanisław Kalinowski, założyciel obserwatorium geofizycznego, autor wielu prac naukowych, profesor Politechniki Warszawskiej (niestety daty śmierci nie udało się nam stwierdzić; osiem notatek w czasopismach podaje tylko datę pogrzebu 30.3.).

ZMARŁ w Krakowie (5.4.) profesor Politechniki Krakowskiej, Edmund Wilczkiewicz, dziekan wydziału inżynierii, autor jedynych w Polsce prac fotogrametrycznych.

6 KWIETNIA zmarł w Warszawie dziekan Wydziału Farmaceutycznego U.W., Bronisław Koskowski, prezes Naczelnej Izby Aptekarskiej i doktor h. c. uniwersytetu w Nancy.

WYDZIAŁ PRAWNY uniwersytetu w Tuluzie zaprosił na wykłady porównawczego prawa publicznego profesora U.J., Jerzego Langroda.

PREZESEM Banku Gospodarstwa Krajowego został mianowany wybitny ekonomista, Jan Lipiński, profesor SGH.

DO LONDYNU przybyła wycieczka polskich uczonych.

Z INICJATYWY Towarzystwa Asystentów UJ. Senat Uniwersytetu powołał specjalną komisję, która ma dokonać prac przygotowawczych, związanych z założeniem Związku Zawodowego Pracowników Naukowych. W skład komisji wchodzi rektor Szafer, prof. Adam Krzyżanowski i ks. prof. Wicher.

W SŁUPSKU powstało Towarzystwo Naukowe; ma ono prowadzić i popierać prace naukowe we wszystkich dziedzinach, ze szczególnym uwzględnieniem ziem odzyskanych.

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA „CZYTELNIK” przeprowadziła w Warszawie konferencję, dotyczącą zagadnień popularyzacji nauki i wiedzy w Polsce;

udział w konferencji brali przedstawiciele ministerstw i kuratorów oraz organizacji społecznych.

WARSZAWSKA młodzież robotnicza może przygotowywać się do wyższych studiów na specjalnym kursie, urządzonym przez AZWM Życie; zakłady pracy obowiązane są w czasie przygotowania do studiów dać studentom płatny urlop.

MUZEUM REGIONALNE oraz dom artystów i uczonych powstaje w Pszczynie w zamku książęcym.

OTWARTO oddział wrocławski Instytutu Śląskiego. 6. 4. odbyła się we Wrocławiu konferencja, na której omawiano stan i potrzeby nauki polskiej na Śląsku. Odczyty wygłosili dyr. Lutman, prof. Szabliński, prof. Rospond, prof. Styś, dyr. Wrzosek, prof. Zwierzycki, prof. Stojanowski, dyr. Janta, prof. Mikulowski, prof. Konopiński.

MIASTO WAŁBRZYCH przeznaczyło pięćdziesiąt tysięcy zł. stałej subwencji na zakup książek dla katedry prawa administracyjnego Uniwersytetu Wrocławskiego.

ORGANIZUJE SIĘ Akademia Medyczna w Bytomiu i Rokietnicy, sztab naukowy i większość wyposażenia pochodzić będzie z przeprowadzającego się Instytutu im. Paderewskiego z Edynburga.

WE WROCŁAWIU powstał oddział Polskiego Towarzystwa Matematycznego; w ciągu dwóch miesięcy odbyto pięć posiedzeń naukowych z odczytami.

DO WARSZAWY przybywają wagony ze zbiorami muzealnymi, wywiezionymi przez Niemców.

ODBUDOWUJE SIĘ Instytut Radowy w Warszawie. Kapitały na wyposażenie Instytutu będą pochodziły z Ameryki.

KATALOG STRAT KULTURY POLSKIEJ pod okupacją niemiecką w latach 1939—1944 został wydany w języku angielskim w Londynie; materiały opracowali uczeni polscy w kraju.

MINĘŁO 25 lat od śmierci znakomitego językoznawcy rosyjskiego, A. A. Szachmatowa.

DON SUISSE, instytucja szwajcarska, ofiarowała warszawskiej bibliotece uniwersyteckiej przez P.C.K. 780 tomów.

BRITISH COUNCIL ofiarowało niektórym wyższym uczelniom i instytucjom polskim łącznie ponad 1.200 książek.

WYŻSZA SZKOŁA HANDLU MORSKIEGO w Gdyni wciąż jeszcze walczy z trudnościami lokalowymi; mieści się ona w paru klasach Gimnazjum Kuwickiego, nadto po kilkumiesięcznych staraniach uzyskała pięć pokoi na czwartym piętrze (!).

NARODOWY BANK POLSKI ufundował dziesięć stypendiów po 2.000 zł. miesięcznie plus stołówkę bankową dla studentów prawa uniwersytetu wrocławskiego. Stypendia mają być odpracowane w banku (trzy godziny dziennie w czasie studiów, siedem w czasie wakacji).

Naukoznawczy przegląd prasy

DZIENNIK ŁÓDZKI (nr 107) w swym dodatku akademickim zamieszcza konkurs **Wśród wielkich**; autor, Z. Fedak, chce sprawdzić, czy nazwiska nieśmiertelne są ogólnie znane: z dziesięciu obrazków należy odgadnąć dziesięciu uczonych różnych czasów, są nimi — o ile dało się odgadnąć — Diogenes, Archimedes, Kopernik, Descartes, Newton, Montesquieu, Papin, Darwin, Marks, Fleming (odkrywcą penicyliny). Można by się sprzezać, czy Diogenes lub Montesquieu byli rzeczywiście uczonymi.

DZIENNIK POLSKI (12.4) daje artykuł Edmunda Osmańczyka **Aresztowany Instytut**, zawierający krótką historię niemieckiego Ost-Institut, którego filia krakowska przy cofaniu się przed frontem znalazła się w Bawarii; odkryto, że pracownicy Instytutu wywieźli przy sposobności z niektórych polskich szkół wyższych pracownie i zbiory, które powrócą do kraju. W numerze z 13.4 zamieszczony (a w DZIENNIKU ŁÓDZKIM 18.4 przedrukowany) jest artykuł Jana Dembowskiego **Słota tysięcy „białych kruków”**; autor opisuje w nim dzieje i stan obecny Biblioteki Publicznej im. Lenina w Moskwie. To samo pismo drukuje 14.4 list Jana Rewery **Silesiana muszą pozostać na Śląsku**, autor przypomina stosunki kulturalne Wrocławia z Polakami w wieku dziewiętnastym, przedstawia warunki Wrocławia i Jeleniej Góry, na koniec zaś przeciwstawia się projektowi wywieżenia tzw. zbiorów Schafgotschów z Cieplic do Warszawy; radzi po prostu dla ich uprzystępnienia stworzyć jeden etat bibliotekarza. Artykuł wstępny (17.4) Zenona Klemensiewicza **Troska o nauczyciela** mówi o złej szkole powszechnej, która obniża poziom szkół średnich, co się z kolei odbija na poziomie szkół akademickich; a „zła szkoła akademicka wysyła w życie półinteligentów, portaczy, niedołężnych nauczycieli, którzy kształtują życie narodowe wedle marnych wzorów, na jakie tylko stać ich duchowe ubóstwo”. „O wartości szkolny... rozstrzyga „człowiek-nauczyciel”. „Dobrym nauczycielem jest tylko ten, który się

wciąż staje lepszym”, kształci się i rozwija. Na to jednak musi mieć „życiowe warunki trwałego utrzymania się na poziomie sprawności zawodowej”. Materiałna niedza nauczycielstwa jest groźna dla przyszłości narodu. DZIENNIK POLSKI (19.4) nazwał Arkadiusza Piekare „następcą Winawera” ze względu na talent popularyzacyjny. Uważamy to określenie za komplement dla Winawera. Dnia 25.5 artykuł Jana Kawczyńskiego **Akademia medycyny społecznej w Rokietnicy** Instytut Lekarski im. Paderewskiego ma się przenieść z Edynburga na Śląsk z całym sztabem i wyposażeniem naukowym.

DZIENNIK POLSKI (7.4), ECHO KRAKOWA (6.4), GŁOS LUDU (6.4) i ŻYCIE WARSZAWY (5.4) drukują komunikat o drugiej sesji Rady Naukowej (o jej przebiegu patrz ŻYCIE NAUKI nr 4), przy czym różne tytuły świadczą o odmiennych zainteresowaniach: **O poprawę bytu młodzieży akademickiej**, **Sekcja (sic!) Rady Naukowej przy Min. Oświaty**, **Potrzeby szkół akademickich i Badań naukowe — naczelną potrzebą państwa**.

DZIENNIK ZACHODNI (6.4) zamieszcza obszerny artykuł **Emskiego Polscy profesorowie w Pradze**, który szczegółowo omawia działalność odczytową krakowskich uczonych w czasie pobytu tam delegacji, kształtującej sprawy sporne polsko-czeskie. Zawiązała się współpraca kulturalna obu narodów.

ECHO KRAKOWA drukuje (3.4) sprawozdanie z konferencji z młodzieżą akademicką w formie odpowiedzi na ustną ankietę przeprowadzoną w czasie tej konferencji: (h) **Akademickie miasto — Kraków**; omówione są warunki studiów i osiągnięcia akademickich wyższych i kilku stowarzyszeń akademickich Krakowa. Dalszy (7.4.) artykuł **Bibliotekobohater Stanisława Milewskiego** poświęcony jest Bibliotece Jagiellońskiej. Numer z 13.4 przynosi artykuł **Medicusa Zadania społeczne lekarzy**, który między innymi omawia złą organizację studiów i nauczania na uniwersyteckich wydziałach lekarskich. Dzisiejsza organizacja wypacza, zdaniem autora, charakter przyszłych lekarzy. Medicus żąda szyb-

kiego usuwania starszych profesorów oraz usuwania asystentów, którzy zajmują tylko etaty, i których jedyną wartością jest to, „że na pewno nie odbiorą praktyki profesorowi” (!).

GŁOS LUDU (13.4 i 25.4) domaga się w dwóch artykułach, podpisanych Technik i Technolog, aby wychowankowie Państwowej Wyższej Szkoły Budowy Maszyn i Elektrotechniki im. Wawelberga i Rotwanda otrzymali tytuł inżyniera, którego dotychczas z powodu niechętnego stanowiska „niektórych zacofanych profesorów i zawodowych biurokratów” otrzymać nie mogli. Przy tej sposobności przypominamy, że ZYCIE NAUKI (nr 2, str. 137) podawało wiadomość (za RZECZPOSPOLITĄ 22.1), że szkoła ta została na podstawie zarządzenia Ministra Oświaty z dnia 10.12.1945 r. przemianowana na Szkołę Inżynierską im. Wawelberga i Rotwanda. Nie otrzymując Dziennika Urzędowego Ministerstwa Oświaty (pomimo prób), nie możemy sprawdzić tej wiadomości; jednakowoż oznacza to, że albo rozporządzenie nie weszło w życie (autorzy o nim nie wiedzą), albo też w związku ze zmianą nazwy podniesiono poziom wykształcenia absolwentów, a więc udzielanie tytułu inżyniera zawodowego wstecz absolwentom z ubiegłych lat studiów nie jest przewidziane.

GŁOS WIELKOPOLSKI (21.4) obrazuje społeczne skutki chemii w artykule Kazimierza Kapitańczyka *Chemia głodu czy przesytu?*; między innymi przedstawia autor wpływ chemii na modę, radio, fotografię, zaopatrzenie w surowce lub zużycie nadmiaru surowców, a nawet na zmianę przyzwyczajeń.

KURIER CODZIENNY (12.4) przedstawia tezy programowe Stronnictwa Demokratycznego *Przez wychowanie — do nowego człowieka*; państwo i społeczeństwo mają otoczyć opieką młodzież i nauczycieli i stworzyć warunki pracy twórczej. Jednostki utalentowane powinny otrzymać wyposażenie umożliwiające im pracę, a uczelnie mają się stać akademiami „służby dla wiedzy i narodu”. Temuż pismu (14.4) udzielił inż. Wł. Sikorski wywiadu *Nauka i praca w ziemiole* (Gorcz); wywiad ten obrazuje pracę i zadania Instytutu Naukowo-Rzemieślniczego. Centrala tego

Instytutu słusznie nosi swą nazwę, we filiach jego natomiast wyraz „nauka” rozumiany jest w znaczeniu „nauczanie”, gdyż przeprowadzają one kursy rzemieślnicze, organizują biblioteki, wydają świadectwa itp. Wreszcie (25.4) znajdujemy artykuł Sergiusza Wawilowa (przesa Akademii Nauk ZSRR) *Lenin i nauka*; Lenin interesował się nauką i sam opracował plan prac naukowo-technicznych w roku 1918, nadto dopomógł do utworzenia wielkich instytutów naukowych w Moskwie i Leningradzie. W dalszym ciągu artykułu znajdujemy cyfry porównawcze z lat 1914—1919 i czasów obecnych.

KUŹNICA (r. 2, nr. 15) drukuje artykuł Henryka Szzippera *Polski Piemont kulturalny we Lwowie 1939—41 r.*, w którym znajdujemy również materiały do historii lwowskich wyższych uczelni w tym czasie; szczegółowiej omówiono katedry polonistyczne. Tamże artykuł Stefana Żółkiewskiego *„Slovo a slovesnost”*, będący omówieniem czeskiego czasopisma językoznawczego o takimże tytule i osiągnięć uczonych czeskich w tym zakresie (a zwłaszcza Jana Mukarovsky'ego); przedstawiona jest również pokrótce historia rozwoju naukowej wiedzy o literaturze i jej łączność z językoznawstwem. Dalej artykuł Artura Bera: *Co mają czytać młodzi chłopcy i robotnicy?*, w którym autor polemizuje z propomowaną dla nich książką Carrela *Człowiek istota nieznana*, wykazując, że książka, której „...prawie każde zdanie... jest wyrazem ciężkiej pracy uczonego...” (cytat z przedmowy Carrela) jest niebezpieczna, ponieważ mimo zastrzeżeń przedstawiania tylko poglądów naukowych, Carrel opiera się na faktach niesprawdzonych lub fałszywych; tym samym książka ta „nie tylko szerzy błędne idee, ale dyskredytuje naukę”. Ber przeprowadza daleko idące analogie między poglądami Carrela a niemieckim rasizmem z jego ostatnimi zastosowaniami; analogie te są może zbyt daleko—posunięte (zapewne umyślnie), ale są też przykładem, do czego może doprowadzić interpretacja pozanaukowych poglądów znakomitego biologa, popartych automatycznie jego autorytetem. Ostatni kwietniowy numer (16) zawiera artykuł Jerzego Barskiego *W obronie „czystej”*

nauki, czy w obronie nauki? Autor powiada, że wobec niezwykłych osiągnięć nauki w ostatnich czasach system angażowania setek wybitnych uczonych... „na obałutunek” przyjął się i w Rosji i w krajach anglosaskich. Zaangażowanie nadmiernie wielu fizyków do badań nad energią atomową może spowodować zaniedbanie innych dziedzin fizyki. „Wielkie zainteresowanie, jakim zaczęli obdarzać naukę politycy i finansiersi, może jej zaszkodzić, „krepując ...rozwój dziedzin, które zwykliśmy nazywać „czystą nauką”. Autor wykazuje, że podział nauk na czyste i praktyczne jest sztuczny i że wiedza nauk czystych może być nawet dla laika pasjonującą. Uczni są tylko wyposażeni w umiejętności potrzebne do zdobycia tej wiedzy. „Swoboda wszechstronnych obserwacji i badań, wolność w wymianie dokonanych spostrzeżeń — oto kardynalne warunki postępu nauki”. Ze społecznego punktu widzenia nie jest niepożądaną poświęcanie się naukom teoretycznym, lecz jest złem, gdy uczoney z powodu rzekomego braku zainteresowania nie-specjalistów jego przedmiotem zrywa kontakt ze społeczeństwem. W *Notach* odpowiedź rdc („Uczniwi przeciwnicy”) na nasze *Komentarze* z nr 3 byłaby dobrą sposobnością do wyjaśnienia nowych nieporozumień na temat naukowości, gdyż redakcję *KUŹNICY*, myślącą filozoficznie i broniącą „autonomiczności” (?) humanistyki, odmiennie postawienie zgodnienia zdezorientowało, jak się zdaje, zupełnie. Ale ponieważ zarzucono nam nie tylko psychologizm, naturalizm, obronę niesprawdzalnego pojęcia osobowości i wiary w wolną wolę, lecz także nielojalność, nieuczciwość, fałszerstwo, nienetwo, fantazjowanie, nieobyczajność i bezpodstawność, postanowiliśmy się z *Kuźnicą* już w żadne dyskusje nie wdawać, przynajmniej dopóki jej redakcja nie nauczy się dyskutować bardziej po europejsku.

NAUKA I SZTUKA (t. 2, nr 3) zamieszcza artykuł Jana St. Bystronia *Warszawa 1815—1831*, w którym znajdujemy spore ustępy, poświęcone uniwersytetowi, jego życiu w pierwszych latach po założeniu (1816), oraz innym ówczesnym wyższym szkołom. W *Przeeglądach* obszerna notatka Antoniego Łaskie-

wicza *Archiwum mineralogiczne*; pismo to miało za zadanie rozpowszechnić w całym świecie wkład polskiej mineralogii w naukę światową, autor zaś w przejrzystym skrócie zbiera treść prac najważniejszych. Tamże omówienie książki „*I believe*” (wyd. Allen and Unwin) przez Antoniego Prejbisza pt. *Myśl światopoglądowa w Anglii w początkach ostatniej wojny (1839—1840)*.

ODRODZENIE w dalszym ciągu zamieszcza odpowiedzi na swą ankietę *W pracowniach pisarzy i uczonych*. W numerze 14 (rok 3) aż sześćnaście odpowiedzi, z których dwie mówią o pracy naukowej; napisali je Tibor Csorba (Prace historyczne polsko-węgierskie) i Antoni Waśkowski (Historia teatru krakowskiego); obaj autorzy zajmują się również pracą literacką. W numerze 15 wśród sześciu innych obszerna odpowiedź Tadeusza Stanisława Grabowskiego (Słowianoznawstwo). W numerze 16—17 trzydzieści pięć odpowiedzi, z których dwie napisali ludzie pracujący naukowo: Stanisław Brzeziński (historia kultury) i Jerzy Pogonowski (muzykologia, słowianoznawstwo, historia filozofii — tym razem tylko trzy specjalności). Powracając do nr 15, znajdujemy w nim jeszcze artykuł Adama Schaffa *Nauki przyrodnicze i filozofia*; autor stwierdza, że wśród silnie akcentujących się dyskusyj ideologicznych brak w Polsce głosów przyrodników, chociaż w wielu krajach jest inaczej. Uczni ci „zachowują... wyniosłe milczenie”. A jednak „historia nauki dowodzi, że jednostronność jak bumerang uderza w tego, kto na niej opiera swe istnienie”. O ile negatywny stosunek przyrodników do dociekań filozoficznych ma swe historyczne uzasadnienie, o tyle „zreformowana, antyspekulatywna filozofia, stawiająca sobie jako cel uogólnienie rezultatów badań nauk pozytywnych, nie tylko nie jest z nimi sprzeczna, ale co więcej, jest koniecznym ich uzupełnieniem jako teoretyczne uogólnienie i jako metodologiczna podstawa”. Stosunek ten badał już Engels, którego autor cytuję parokrotnie. Powstałe uogólnienia są specyficzne dla poszczególnych dyscyplin, ponadto istnieją też uogólnienia wspólne dla całej ludzkiej wiedzy. Jeżeli uczonym „się zdaje, że uniknęli grzechu filozofowania, po-

pełniają go — jak świadczy o tym historia nauki — nieświadomie i w dodatku nieumyślnie". Nie można temu odmówić pewnej słuszności, z drugiej jednak strony należy zauważyć, że uogólnienia, nie wykraczające poza sprawdzalność naukową, nie są filozofią, lecz nauką. Jeśli zaś poza nią wykraczają, filozofią może są, ale nie mają wartości naukowej. Autor pisze dalej, że ignorowanie filozofii prowadzi do ignorancji filozoficznej, ta zaś do „mętniactwa“, ale i tu można zauważyć, iż nie wiadomo, co prowadzi do większego „mętniactwa“ — ignorowanie filozofii, czy sama filozofia. Artykuł kończy się stwierdzeniem, że „marksizm jest równoznaczny z naukowym myśleniem“. Teza ta pociąga za sobą dość niepokojące konsekwencje nie zauważone zapewne przez autora, że tylko marksiści myślą naukowo i że każdy, kto myśli naukowo, jest marksistą. W *Korespondencji* list Jerzego Kreczmara Losy lwowskiej biblioteki teatralnej; autor dowodzi, że lwowskie teatralia znajdują się w Ossolineum i zapewne podzielił jego losy.

W numerze 16—17 artykuł *Ludwika Sawickiego *Organizacja nauki w Związku Radzieckim* przynosi dużą ilość ciekawych cyfr, odnoszących się przede wszystkim do Akademii Nauk, prócz tego opisuje organizację muzeów, rezerwatów i uniwersytetów (te ostatnie mniej szczegółowo). Na koniec podnosi zainteresowanie uczonych radzieckich Polską i możliwością ściślejszych stosunków pomiędzy uczonymi obu krajów.

OŚWIATA I KULTURA (t. 2, nr 2—3) podaje szczegółową wiadomość o zorganizowaniu specjalizacji oświatowej w ramach studium pedagogiki na Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu Poznańskiego. Specjalizacja ta opiera się na razie na systemie wykładów zleconych; pismo podnosi szkodliwe strony zupełnego braku stypendiów dla studentów specjalizujących się w tym dziale, wskutek czego ukończenie studiów będzie się opóźniało.

PIONIER (21.4) drukuje artykuł Janiny Ender Bracia Bandkile, który przypomina życiorysy Jerzego Samuela i Jana Wincentego Bandkile, szczególnie uwzględniając czasy ich pobytu we Wrocławiu. W tym samym numerze znajdujemy artykuł Władysława Cza-

plińskiego *Zadania historii na ziemiach śląskich*; autor omawia ogólną rolę historii, która umożliwia zrozumienie rzeczywistości. Trzeba dopiero napisać dokładną naukowo historię Śląska i spopularyzować ją między szerokie masy, wydobyć z dziejów całą odwieczną polskość tej ziemi.

PRZEGLĄD ZACHODNI (r. 2, nr 1) zamieszcza artykuł Mieczysława Suchockiego *Historizm jako podstawa twórczości kulturalnej*, w którym autor wskazuje na wady polskiej historii; jest ona nastawiona raczej na opisy, niż na syntetyczne ujęcie i to pozwala na wiele niejasności. Mickiewicz, choć krytykował „mędrcą szkiełko i oko“, nie stronił jednak od wiedzy; filomaci uważali za swój obowiązek wszechstronne wykształcenie. Dla kultury ważny jest światopogląd, oparty na znajomości historii i umiejscy umiemości historię narodu w historii powszechnej. Bożena Stelmachowska w artykule *O styl i obyczaj rodzinny na Ziemiach Odzyskanych* podaje zadania polskiej etnografii z ciekawymi zastosowaniami praktycznymi zdobytej wiedzy. W artykule Kazimierza Kolańczyka *Badania naukowe wobec konieczności chwili* — autor opisuje prace Sekcji Onomastycznej Instytutu Zachodniego i jej osiągnięcia. W *Korespondencjach*: List Mariana Pelczara *Na należne mu od wieków miejsce*, omawiający Towarzystwo Przyjaciół Nauki i Sztuki w Gdańsku, Zbyszko Bednorz (*Humanizm czy technicyzm?*) opisuje i komentuje przewagę górnośląskich instytucji naukowo-technicznych nad humanistycznymi. Budynek Muzeum Śląskiego został zniszczony przez Niemców. Uczelnie i Instytuty są wymienione lub krótko omówione. Realizacja dawnych myśli, kontynuowanie dawnych prac Andrzeja Bukowskiego ustala, że stworzenie wyższej uczelni w Toruniu było logicznym dopełnieniem starań, rozpoczętych od chwili wydania przez papieża Urbana VI bulli w r. 1386 (*Ustanowienie „studium generale“ w Chełmnie*); szczegółowo opisana jest uroczystość pierwszej inauguracji roku akademickiego UMK, ponadto omówiona jest działalność Towarzystwa Naukowego w Toruniu. W artykuliku Stanisławy M. Sawickiej *Feniks z popiołów*, przedstawio-

ne jest życie naukowe Warszawy ze szczególnym uwzględnieniem jej zainteresowań ziemiami odzyskanymi.

Nr. 2 poświęca dwie strony Eugeniuszowi Romierowi w 75 rocznicę urodzin, dodając jego doskonały całostronny portret fotograficzny. Artykuł Rajmunda Buławskiego **Rada Naukowa dla zagadnień Ziemi Odzyskanych** omawia dokładnie powstanie, pierwsze prace i dalsze zadania tej Rady. Karol Górski w artykule **Zadania historiografii polskiej na Pomorzu** porusza sprawę archiwów pomorskich oraz żąda udostępnienia archiwów niemieckich cudzoziemcom; omawiając w dalszym ciągu publikacje źródłowe niemieckie i polskie oraz potrzeby wydawnicze i ponadto potrzeby dziejopisarstwa pomorskiego, autor cytuje wypowiedź niemieckiego docenta Ludata (w czasie wojny), który uważał, że „teraz, skoro państwo polskie jest zniszczone, można już pisać prawdę: ...Mieszko nie był Germaninem”. W **Korespondencjach** Marian Pelczar opisuje Gdańsk jako **Ośrodek nauki polskiej na wybrzeżu** (Politechnika, Akademia Lekarska, potrzeba utworzenia uczelni humanistycznej, Towarzystwo Naukowe Lekarskie). Archiwami śląskimi zajmuje się Zbyszko Bednorz w liście **Dokumenty polskości pod warstwą pyłu**, podnosząc fatalne warunki konserwacji ich zbiorów, straty poniesione w czasie wojny i korzyści dla nauki w razie wyzyskania materiałów; przestrzega jednocześnie przed możliwością ich ostatecznego zaprzepaszczenia przez brak opieki nad nimi. Andrzej Bukowski omawia **Dwa ciekawe referaty**: prof. Karola Górskiego „Stan badań historycznych nad przeszłością Pomorza” (w związku z tym inicjatywa zwołania zjazdu pomoroznawczego i utworzenia komisji do ratowania archiwów) i ks. Pawła Czaplewskiego o pochodzeniu drobnej szlachty kaszubskiej, wygłoszone na posiedzeniach Towarzystwa Naukowego w Toruniu. — **Rewindykacja książki polskiej** Stanisławy M. Sawickiej porusza obok zagadnień praktycznych losy zbiorów bibliotek warszawskich i innych, częściowo odnalezionych na Śląsku i również częściowo przywiezionych do Warszawy. Wreszcie list Tadeusza Mikulskiego **Pod wezwaniem przeszłości** przypomina dzieje

nauki polskiej we Wrocławiu, omawiając działalność Instytutu historii literatury polskiej, ludzie, którzy w pracy przodowali, to Wojciech Cybulski i Władysław Nehring. Przedstawiony jest również stan obecny.

W nrze 3 znajdujemy artykuł Aleksandra Rogalskiego **Nauka Niemiec odradza się**, podzielony na rozdziały: Fakty, Ideologia, Zadania i dążenia, Refleksje. Rozpoczęły już pracę uniwersytety w Jenie, Berlinie, Gryfii, Rostoku, Lipsku, Halle (w strefie sowieckiej), oraz w Heildebergu, Erlangen, Würzburgu, Monachium, Kilonii, Tybindze (poza strefa sowiecką) i kilka innych wyższych uczelni; autor podaje ważniejsze fakty historyczne, dotyczące tych uniwersytetów, oraz obecnie podjęte prace, obsadę rektoratów i liczby zapisanych studentów. Nauka niemiecka odradza się wśród trudności z pewną energią, nie zawsze widząc zło w sobie samej. Zwraca się największą uwagę na praktyczne zastosowanie osiągnięć nauki. „Ministerpräsident” dr Geller pisze, że regeneracja narodu niemieckiego „może nastąpić tylko dzięki pierwiastkowi duchowo-intelektualnemu. Do tego jednak konieczna jest dłań wolna i świadoma swej odpowiedzialności nauka”. W dalszym ciągu wywody Gellera zajmują się kierunkiem działania uniwersytetów i młodzieżą akademicką. Koncepcja dobra Niemiec jest jeszcze bardzo nacjonalistyczna. Artykuł ten jest tym bardziej ciekawy, że o obecnej nauce niemieckiej wiemy może mniej jeszcze, niż o nauce innych krajów. Abstrahując już od postulatu powszechności nauki, powinniśmy znać swych sąsiadów i wiedzieć, co dzieje się w kraju, który zawsze krył dla nas niebezpieczeństwo. Dalej w tymże piśmie korespondencja: Zbyszka Bednorza **O przyjaciółach nauk na Śląsku**. Autor w krótkim zarysie przedstawia historię biblioteki w Jassach, którą kuratorzy jej przekazali Śląskowi; obecnie istnieje ona w Katowicach jako Śląska Biblioteka Publiczna. Z przybyciem biblioteki tej na Śląsk łączy się powstanie Towarzystwa Przyjaciół Nauk; opisane są szczegóły jego powstania oraz obecne jego zainteresowania i prace. — Następna korespondencja, to **Nauka polska**

nad Odrą Tadeusza Mikulskiego, obejmuje ona Uniwersytet Wrocławski. Polskie Towarzystwo Archeologiczne, oddziały wrocławskie Polskiego Towarzystwa Geograficznego i Towarzystwa Literackiego im. Mickiewicza, oraz Wrocławskie Towarzystwo Miłośników Historii, wreszcie — mimo pozornego nadmiaru tych instytucji — Towarzystwo Naukowe o sześciu wydziałach jako instytucję pewnego rodzaju nadrzędną.

Wreszcie (bardzo to bogaty numer!) Bilans pierwszego roku pracy Instytutu Zachodniego; jest to, jak mówi podtytuł, sprawozdanie dyrekcji, złożone na walnym zebraniu członków w dniu 16 marca br. Instytut miał zmobilizować siły naukowe „dla zorganizowania pracy nad zagadnieniami polsko-niemieckimi” oraz uprawiać naukę stosowaną, przez „formułowanie tez, które oparte na solidnej podstawie badawczej mogłyby mieć bezpośrednie zastosowanie w życiu”; „Cele jest stosowanie uczciwych wyników naukowych dla potrzeb życia”. Szczegółowo omówiona jest działalność sekcji Instytutu. Dołączono do numeru Bibliografię Zachodnią, która obejmuje druki nieperiodyczne z roku 1945, dotyczące ziem zachodnich i zagadnienia niemieckie.

ROBOTNIK (7.4) zamieszcza przekład artykułu M. Rubinsteina *Polityka atomowa i nauka*, omawiający trzy grupy uczonych, twórców bomby atomowej, i ich publiczne wypowiedzi na temat energii atomowej; uczeni „zapowiedzieli, że odmówią trustom współpracy nad wyzyskaniem tej energii. Przedstawiona jest również dyskusja parlamentarna i publiczna nad tajemnicą bomby atomowej, koncepcje polityczne z nią związane i przygotowania do międzynarodowych doświadczeń na Pacyfiku.

RZECZPOSPOLITA (7.4) drukuje Kazimierz Czachowskiemu *Spóźniony hołd Juliuszowi Kleinerowi*; autor przedstawia i ocenia wyjątki z książki Kleiner'a *W kręgu Mickiewicza i Goethego*.

ŚWIATŁO (nr 5) przynosi artykuł Zbigniewa Jurkiewicza *Szkoły, matury, młodzież*; autor twierdzi, że organizacja szkolnictwa sprzed

roku 1939 zahamowała rozwój myśli naukowej w społeczeństwie, uniemożliwiając utworzenie się licznej i wartościowej warstwy intelektualistów; klasy społecznie upośledzone nie miały własnej warstwy wykształconej. — Działo się to między innymi przez „zorganizowanie śmiesznie „małej ilości wyższych uczelni o niskim, w porównaniu z zagranicą, poziomie nauczania”, obstawionych „wysokimi opłatami za pobieranie nauki”, Odbudowa szkolnictwa była niestety jakościowa, nie tylko ilościowa, i to zwłaszcza na uniwersytetach; młodzież akademicka w dalszym ciągu, zdaniem autora, składa się przeważnie z materiału selekcionowanego społecznie i brak tam „młodzieży innej, rozbudzonej, żądnej” [czego?], „o mocnych tendencjach społecznie twórczych”. Autor domaga się energicznej rewizji dotychczasowego systemu nauczania, niczego jednak nie precyzując. Jeżeli młodzież społecznie twórcza była dotychczas systematycznie i celowo zaniedbywana, obawia się można, że doprowadzenie jej do uniwersytetów o wysokim poziomie nauczania może potrwać długo. W nrze 6 zamieszczony jest artykuł Narcyza Łubnickiego *Nauka a życie*, w którym autor wykazuje, że nauka powstała z potrzeb praktycznych i usamodzielniała się następnie w formie teoretycznej, skierowanej ku badaniom bezinteresownym, opłacającym się jednak często sowicie w praktyce. Autor krótko omawia stosunek nauki do rozumu i fantazji i zwraca uwagę na możliwość niewłaściwego użycia naukowych osiągnięć. Adam Łysakowski podnosi w artykule *O wartości ksiąg* między innymi ważność książki dla nauki i kultury. Nieporozumieniem co do istoty biblioteki jest wiersz Jana Bolesława Ożoga *Biblioteka*.

TYGODNIK POWSZECHNY (nr. 2, nr 14) drukuje artykuł ks. Włodza Pietkuna *Humanistyka a teologia*, w którym autor przeprowadza porównanie teologii i nauk humanistycznych, nawiązując do artykułu prof. Konrada Górskiego z nr. 5. Ciekawi jesteśmy, dopóki jeszcze będzie się w Polsce pisać o całości teologii jako o nauce. W nrze 15 ag omawia dwa pierwsze nry *ŻYCIA NAUKI* polemizu-

jąc z podstawami naukowego humanizmu i obiecując powrócić do tej kwestii w osobnym artykule. „...artykuł Chojnowskiego, bardzo ciekawy i mający wiele słusznych i pięknych stwierdzeń, jest jednak nieporozumieniem... dlatego właśnie, że Chojnowski zbyt wiele od nauki wymaga”. Czekamy na obiecaną dyskusję.

ZYCIE SŁOWIAŃSKIE (nr 3) w **Kronice Kulturalnej** zamieszcza następujące notatki: **Organizacja Słowackiej Akademii Umiejętności** (jr), **Wykłady polskich uczonych w Pradze** (x), **Towarzystwo Literacko-słowiańskie 1836—1886** (sb), **Kontakty czeskiej i radzieckiej etnografii** (jr) — o konferencji etnografów tych dwu narodów w Moskwie, **Biblioteka słowiańska w Morawskiej Ostrawie** (JUW). W rubryce **Z czasopism słowiańskich** interesujące są notatki **Periodyki serbskie** (hb) — wymieniono przeważnie pisma naukowe — oraz **Z czasopism rosyjskich** (BM), obejmujące prócz pism politycznych i kulturalnych niektóre publikacje naukowe.

ZYCIE SZKOŁY (nr 2) daje krótki artykuł Stanisława Nowaczyka **Naukowa organizacja pracy**, który w przejrzysty sposób kreśli historię odkrycia Karola Adamieckiego w Polsce i szkieletowo przedstawia możliwości naukowej organizacji pracy w szkole. W **Sprawozdaniach** znajdujemy recenzję z ciekawej książki Stefana Burhardta i Józefa Mossakowskiego **Z prehistorii Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu**, opisującej starania o wszechnicę na Pomorzu od roku 1383 aż do utworzenia U.M.K. Numer 3—4 przynosi artykuł Franciszka Idana **Znaczenie filozofii dla nauczyciela**; autor uzasadnia potrzebę ogólnej znajomości filozofii (głównie logiki, psychologii, metafizyki i etyki), podając przykłady praktycznych zastosowań nauk filozoficznych w szkole.

ZYCIE WARSZAWY (1.4) domaga się w artykule **Klimat twórczej pracy stwórzmy naukowcom**, podpisanym mł-par, aby naukowcy, których jest w Polsce mało, byli otoczeni

opieką i mogli pracować; szczególnie warunki warszawskie są trudne (mieszkania, stółki, deputaty — wszystko kuleje). Uczni „powinni być wyróżniani — a nie krzywdzeni”. To samo pismo (1.4) drukuje wywiad z prof. Franciszkiem Czubalskim, dziekanem wydziału lekarskiego U.W. **Terror okupanta nie zламаł uczącej się młodzieży**, który dość dokładnie omawia potrzeby swego wydziału; wydział ten nie może się doczekać mianowania docentów na profesorów, wyposażenie naukowo-dydaktyczne zakładów jest słabe, wiele zajęć dla słuchaczy odbywa się na Pradze, co pociąga za sobą olbrzymie straty czasu.

Dodatki obrazujące życie słuchaczy szkół akademickich pojawiają się w dalszym ciągu w **DZIENNIKU BAŁTYCKIM** (4.4 i 20.4), **DZIENNIKU ŁÓDZKIM** (nrnr 93 i 107), **GAZETIE LUBELSKIEJ** (1.4 i 8.4) i w **KURIERZE CODZIENNYM** (7.4 i 19.4); **ROBOTNIK** (18.4) wznowił wydawanie dodatku **Akademik-socjalista**. W dodatkach tych znajdują się następujące artykuły (nie omówione gdzie indziej): **J. M. Struktura społeczna studentów Uniwersytetu Jagiellońskiego** (DZ. BAŁT. 19.4) podaje rozkład studentów ilościowo na poszczególnych wydziałach (niestety nie wszystkich) i częściowo środowisko ich pochodzenia społecznego; **Francja pomaga nauce polskiej** (GAZ. LUB. 1.4) — o przyznaniu 20 stypendiów wakacyjnych i 110 stypendiów na przyszły rok akademicki dla polskich studentów wyjeżdżających do Francji; **Szkola Główna Gospodarstwa Wiejskiego, opinie i zamiary studentów** (KUR. CODZ. 7.4) — studenci domagają się specjalizacji już od drugiego roku studiów, co jest o tyle ciekawe, że opinie zarówno polskie jak i zagraniczne dotychczas raczej wypowiadały się za opóźnieniem specjalizacji; warunki życia i pracy studentów omawia również wywiad z rektorem warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych **Więcej troski o przyszłych artystów** (KUR. CODZ. 19.4).

NAUKA ZA GRANICĄ

UCZENI ANGIELSCY W SŁUŻBIE PAŃSTWA

UDZIAŁ uczonych angielskich w wysiłkach nad osiągnięciem zwycięstwa w ostatniej wojnie jest chyba jedną z najpiękniejszych kart w historii nauki. Wkład, jaki wniosła wyteżona praca ich mózgów w sprawę nie tylko ich własnego państwa, ale — bez retorycznej przesady — całej ludzkości, jest tak olbrzymi, że nie da się zbyć w kilku słowach. Wymowniejsza i bardziej przekonująca byłaby tu statystyka i szczegółowe zestawienie niezliczonej ilości konkretnych faktów, które odsłonią kiedyś niewątpliwie historie nauki, wojen i zdarzeń politycznych. Sam już fakt, że ta rola i zasługi nauki nie zostały zapoznane przez rządowe sfery angielskie, lecz przeciwnie, spotkały się z najwyższym uznaniem, znajdując pełne zadośćuczynienie w formie nowego projektu popierania przez państwo nauki i poprawy bytu materialnego uczonych, znajdujących się na służbie państwowej (w przeciwieństwie do uniwersytetów, które w zasadzie są prywatne, a od państwa otrzymują tylko większe dotacje), mówi sam za siebie. *Exposé* parlamentarne kanclerza finansów w sprawie tego projektu (wrzesień 1945) daje uznaniu państwa dla nauki pełny wyraz: „Rząd jest dobrze świadomy tego wkładu, jaki wniosła nauka do osiągnięcia zwycięstwa, przyczyniając się do zmiany całego biegu wojny i do niewątpliwego skrócenia czasu jej trwania. Rząd jest również świadomy tego wkładu, jaki nauka może, wnieść w czasie pokoju, oraz poprawienia stanu zdrowotności i środków obrony” (wg. broszury *The Scientific Civil Service*, His Majesty's Stationery Office, London 1945).

Nic też więc dziwnego, że naród, który w wielkiej mierze dzięki nauce i uczonych wywyższył się z otchłani śmiertelnego niebezpieczeństwa na najwyższy szczyt zwycięskiego triumfu, zdając sobie dobrze sprawę, że ewentualna przyszła wojna może być w jeszcze większym stopniu wojną mózgów, nie odepchnął nauki po wojnie jak przysłowiowego murzyna, który zrobił swoje, lecz stara się ją zaprząć do intensywniejszej pracy w służbie państwa i związać jeszcze bardziej jej los z jego losem. Więż ta, zapoczątkowana już w r. 1909 założeniem tzw. funduszu rozwojowego (*Development Fund*), a wzmocniona przez centralne komisje badawcze, obejmujące przede wszystkim trzy najpodstawowsze dziedziny życia społecznopaństwowego: przemysł, zdrowie i rolnictwo (*Scientific and Industrial Research, Medical Research i Agriculture Research*), znalazła swój pełny wyraz w czasie wojny, kiedy wprowadzono do wszystkich możliwych wyższych placówek państwowych uczonych jako ekspertów i doradców, mających za zadanie przyczynić się do najracjonalniejszego i maksymalnego wyzyskania narodowych sił i zasobów. Szczytem zaś niejako i ukoronowaniem tego zrozumięcia roli nauki było stworzenie specjalnej Naukowej Komisji Doradczej przy gabinecie wojennym (*the Scientific Advisory Committee of the War Cabinet*), której skład (między innymi członkowie *Royal Society*), zadania (między innymi donoszenie rządowi o najnowszych osiągnięciach naukowych) oraz ścisły kontakt z zagadnieniami woj-

ny (przewodniczący komisji był z urzędu członkiem gabinetu wojennego) same najlepiej mówią o jej roli. Jeszcze może bardziej znamienny jest jednak wspomniany wyżej projekt rządowy, przedstawiony parlamentowi przez kanclerza finansów we wrześniu roku ubiegłego i zapewne już — jak wynikałoby ze słów sprawozdawcy — stopniowo realizowany, a znamienny przez to, że zamierzona w nim poprawa bytu materialnego uczonych pochodzi w okresie całkiem odmiennym od okresu wojennego, kiedy pomoc naukowców była wprost kwestią życia: uczeni, zatrudnieni w instytucjach państwowych, nie tylko zatrzymują swe dotychczasowe — i tak już dość wysokie wynagrodzenia, lecz w dodatku wynagrodzenia te mają być znacznie wyższe, przy czym droga do awansu i kariery zostaje znacznie ułatwiona. Warto się temu projektowi bliżej przyjrzeć.

Według własnych słów tego projektu zmierza on do stworzenia „takich warunków dla pracujących dla państwa naukowców, żeby przyciągnęły do Naukowej Służby Państwowej (*Scientific Civil Service*) naukowo wykwalifikowanych mężczyzn i kobiety wysokiej wartości oraz, aby uczeni w służbie państwa wykorzystali swoje zdolności, a to w tym celu, aby uczeni w służbie państwowej mogli odgrywać pełną rolę w rozwoju narodowych zasobów i podnoszeniu narodowego dobrobytu” (*The Scientific Civil Service*, str. 2). Do przeprowadzenia tych zamierzeń została stworzona jeszcze w czasie wojny specjalna komisja pod przewodnictwem wiceministra skarbu Sir Alana Barlow (stąd nazwa *Barlow Committee*), która miała opracować konkretne wnioski do reorganizacji *Scientific Service*. Po przedłożeniu ich rządowi okazało się — rzecz znamienna i chyba bez precedensu — że zamierzenia rządu w kierunku poprawy bytu materialnego uczonych sięgały znacznie dalej niż komisji Barlow’a. Poszły one w trzech zasadniczych kierunkach:

1. Stworzenia dla pracowników naukowych takich szczególnych warunków, które by ułatwiały im i zachęcały ich do własnych badań eksperymentalnych,
2. poprawy bytu materialnego i
3. scentralizowania rekrutacji nowych sił naukowych do służby państwowej.

Do wykonania pierwszego zadania powołana została Międzydepartamentowa Komisja Naukowa (*Interdepartmental Scientific Panel*), która, złożona z przedstawicieli głównych organizacji naukowych, miałaby czuwać nad dobrem i maksymalną wydajnością Państwowej Służby Naukowej i pod tym kątem widzenia składać odpowiednie wnioski, zmierzające do ewentualnych zmian w organizacji i warunkach pracy. Między innymi jako ważne zadanie stoi przed nią, jak wskazuje sama jej nazwa — „międzydepartamentowa”, wyeliminowanie tzw. tendencji izolacjonistycznej, polegającej na tym, że poszczególne departamenty, zatrudniające uczonych w podległych sobie laboratoriach i instytutach, zazdrośnie strzegą ewentualnych tajemnic naukowych. Rozluźnienie tych więzów tajemnicy (*secrecy restriction*) tak przez publikacje własnych prac jak przez dyskusje z osobami spoza służby naukowej, uważa rząd za bardzo pożądane.

Drugi punkt — poprawę bytu materialnego, jako zasadniczy, omawia exposé kanclerza na jej czołowie, dołączając do tego obszernie sprawozdanie

komisji Barlow'a z zawartym w nim materiałem cyfrowym. Przedstawia on rozbudowany aparat całej „kasty urzędniczej” naukowców wg. szczebli, tytułów i wynagrodzeń. Ważniejsze jednak są podstawowe zasady, którymi się kieruje projekt w reorganizacji powojennego stanu materialnego uczonych. Poza wydatnie zwiększonymi stawkami wynagrodzeń w porównaniu ze stanem z czasów wojny projekt wysuwa następujące postulaty, mające przyczynić się do zwerbowania do służby państwowej najwybitniejszych sił naukowych:

1. Wynagrodzenia członków *Scientific Service* z wykształceniem muszą być w odpowiednim stosunku do poborów w administracji państwowej, a mianowicie tak, żeby wynagrodzenie takiego pracownika naukowego odpowiadało w początkowej fazie kariery (tytuł *Scientific Officer*) poborom zastępcy naczelnika w administracji (*Assistant Principal*) tj. przeciętnie 400 funtów rocznie (= 10.400 zł. przedwojennych), a głównego pracownika naukowego (*Principal Scientific Officer*) — poborom naczelnika (*Principal*), tj. przeciętnie 950 funtów (= 24.700 zł.), przy czym każdemu naukowcowi powinno być zapewnione osiągnięcie tego stopnia w wieku już trzydziestu kilku lat. W ogóle rząd jest zdania, że skuteczniejszy jest szybki awans w pierwszych latach służby niż równomierne skoki w dłuższym przedziale czasu.

2. Dla zdobycia wybitnych sił naukowych powinna być przewidziana duża skala wyjątkowych wypadków, w których pracownik może uzyskać z miejsca uposażenie przekraczające znacznie wymienione wyżej zasadnicze normy. W każdym razie początkowe wynagrodzenie musi być wyższe od normalnego minimalnego wynagrodzenia w uniwersytetach.

3. Projekt przewiduje poza tym odciążenie stanowisk wyższych niż *Principal Scientific Officer* od zajęć administracyjnych, przy czym wzięto pod uwagę taki ewentualny wzrost wyższych etatów, żeby poza normalnie przewidzianymi można było dla wyjątkowo wykwalifikowanych i uzdolnionych jednostek tworzyć takie wyższe stanowiska *ad hoc*. Wynagrodzenia takich pracowników są bardzo wysokie: od 1.200 fnt. do 2.500, a nawet przewidzianych jest kilka z 3.000 funt. rocznie (= 78.000 zł. przedw.). W ogóle ilość wyższych stanowisk w stosunku do niższych w czasie pokoju musi wydatnie wzrosnąć w porównaniu z okresem wojennym.

4. Ponadto przewidziany jest szereg najniższych, niejako próbnych, stanowisk (*Experimental Officer*), nie wymagających wyższych kwalifikacji naukowych, a obsadzonych przez 18—19 letnią młodzież tak z niższymi stopniami uniwersyteckimi jak też tylko z doświadczeniem w pracy w przemyśle i inżynierii. Przy czym droga do awansu jest dla nich także otwarta, co jest tym ciekawsze, że to branie pod uwagę możliwości wyłowienia zdolniejszych jednostek spośród najmłodszej, nie zasłużonej na polu naukowym, generacji i ułatwianie im kariery naukowej dzieje się w kraju, w którym wojna nie przeszkodziła w takim stopniu, jak gdzie indziej, normalnym studiom uniwersyteckim.

Wreszcie trzecie zadanie — centralizacja rekrutacji uczonych do *Scientific Service* — nie wymaga specjalnych komentarzy. Dla zorientowania ewentualnych kandydatów w możliwościach kariery w państwowej służbie naukowej

oraz dla ułatwienia im wstępowania do tej służby proponuje się utworzenie specjalnej centralnej komisji (*Civil Service Commission*).

Osobne postanowienia mówią o ulepszonej i korzystniejszej dla pracowników naukowych systemie ubezpieczenia emerytalnego.

Dodać do tego należy, że zamierzenia te dążące do rozbudowy badań naukowych dla dobra państwa przez zapewnienie stałego dopływu sił naukowych do służby państwowej po wojnie, musiały przyświecać rządowi angielskiemu już w czasie wojny, jak o tym świadczy inna broszura, zawierająca sprawozdanie parlamentarne w sprawie współpracy nauki z przemysłem, zdrowiem i rolnictwem, z kwietnia 1944 r. (*Scientific Research and Development*, His Majesty's Stationery Office, London 1944), w której czytamy: „Celem tej broszury jest opisanie obecnej maszyny rządowej, zmierzającej do popierania badań naukowych i ich rozwoju. Rząd spodziewa się stworzyć w ten sposób grunt do dyskusji nad rolą, jaką może odegrać rząd na tym ważnym polu po wojnie” (str. 2).

sto

Wydawnictwa

PHILOSOPHY (The Journal of the British Institute of Philosophy. Edited by Sydney E. Hooper. Published quarterly by Macmillan and Co., Ltd. London), zeszyt 77 z listopada 1945 roku zawiera trzy rozprawy z zakresu teorii poznania: J. N. Findlay'a *Umysł i nasza wiedza o nim*, H. F. Halletta *Istota poznania*, J. C. Gregory'ego *Znajomość innych ludzi*, nadto dokończenie artykułu zmarłego niedawno H. W. B. Josepha *Życie i przyjemność*, obfity dział recenzji i sprawozdanie z dorocznego posiedzenia Brytyjskiego Instytutu Filozoficznego, który rozpoczyna 21 rok swego istnienia. W okresie sześciu lat wojennych Instytut nie zawiesił działalności, był jednak zmuszony ją ograniczyć. Dawał się we znaki brak papieru, ale dzięki zasiłkowi rządowemu wydawnictwa naukowe udało się utrzymać. Organ Instytutu ukazywał się trzy razy do roku w zmniejszonej objętości, nie obniżając dotychczasowego poziomu. Liczba członków zmalała w ciągu tych lat z 1.400 do 1.100. Zarząd ufa, że strata ta zostanie wyrównana. Spośród najbardziej znanych członków Instytutu, którzy zmarli podczas wojny, należy wymienić miss Susan Stebbing, profesora filozofii na Uniwersytecie Londyńskim, i Arthura Eddingtona, słynnego astrofizyka i filozofa fizyki.

Podczas wojny odczyty odbywały się nieregularnie, obecnie działalność Instytutu wraca do normy przedwojennej. Jego zadaniem jest umożliwienie szerokiej publiczności obcowania z najwybitniejszymi filozofami „w celu zaspokojenia uczuwanej przez wielu mężczyzn i wiele kobiet wszelkich zawodów potrzeby wejrzenia jaśniejszego i z głębszym zrozumieniem w sprawy ludzkie”. Instytut pracuje nad zbliżeniem filozofii do życia, nad szerzeniem w społeczeństwie kultury filozoficznej (cykle wykładów z różnych dziedzin filozofii, czasopismo, biblioteka, poradnictwo dla studiujących literaturę filo-

zoficzną, popieranie badań naukowych). W pierwszych miesiącach po najeździe Niemców na Polskę Instytut zorganizował cykl ośmiu konferencji (ogłoszonych później drukiem) na temat: „Głębsze przyczyny wojny i jej następstwa”. Wojna światowa była „wojną idej”. Jedną z nauk, jakie należy wysnuć z tego ciężkiego doświadczenia ludzkości, jest uświadomienie sobie potęgi idej politycznych i etycznych, reprezentowanych przez narody zwycięskie. Idee te zatryumfowały nad „uzbrojoną doktryną” państw totalistycznych, które nie rozumiały tej prawdy, wysnutej przez Arnolda Toynbee z dziejów cywilizacji, że agresywny militarizm jest zawsze drogą samobójczą.

MIND (A Quarterly Review of Psychology and Philosophy edited by Prof. G. E. Moore. Macmillan and Co., Ltd. London). Zeszyty 217 i 218 ze stycznia i kwietnia 1945 roku przynoszą artykuły następujące: M. Lazerowitza *Istnienie powszedników*, B. A. Farrella *Ocena pozytywizmu terapeutycznego*, W. H. Walsha *Hegel i intuicja intelektualna*, F. B. Fitha *Samoporeczalność* w filozofii*, A. E. Taylora o Spinozie, J. Lairda o postępowaniu i charakterze, A. Uszenki (Ushenko) o paradoksach Zenona. Praca Farnela zawiera krytykę metody Ludwiga Wittgensteina i jego uczniów, na podstawie prac J. Wisdoma, G. A. Paula i N. Malcolm'a z lat 1936—1941. W dziale dyskusyj C. Lewy pisze o wynikach i zadaniach empirycznych i o terminologii danych zmysłowych, G. G. Hempel o paradoksach potwierdzenia (*confirmation*) i A. W. Burks na temat: *Prawa przyrody a racjonalność żalu*. Pierwszy z wymienionych zeszytów przynosi oprócz tego listę członków *Mind Association*, drugi — nekrolog wybitnego filozofa angielskiego A. E. Taylora (1869—1945); w obu zeszytach są omówione nowe książki.

Z INICJATYWY *British Council*, przy współpracy najlepszych specjalistów brytyjskich, powstało monograficzne czasopismo mające na celu informowanie świata naukowego i lekarskiego o najnowszych zdobyczach medycyny i pokrewnych zdobyczach wiedzy. *British Medical Bulletin* wychodzi od 1942 r. Każdy jego zeszyt (ilość ich rocznie dochodzi do 12) poświęcony jest osobnemu zagadnieniu, jak np. Fizyka w medycynie, Skóra i jej choroby, Bakteriologia, Neurologia, Entomologia itp.

Numer ostatni poświęcony jest nadzwyczaj ważnemu problemowi radiobiologii eksperymentalnej i stosowanej, a więc jednej z dziedzin zastosowań fizyki w medycynie. Ta młoda gałąź nauk przyrodniczych osiągnęła ostatnio duże sukcesy, szczególnie na polu genetyki, bakteriologii i biochemii. Parę artykułów omawia sprawę pomiarów pochłoniętej energii radioaktywnej i ustalania jednostek biologicznych (G. H. Neary: *The measurement of radiation*, F. Ellis: *Total energy-absorption in radiotherapy*). Inne omawiają wpływ promieni Roentgena, strumieni neutronów i cząstek na wirusy, bakterie i hodowle tkanek *in vitro*, a także genetyczne działanie promieniowania (F. G. Spear: *The biological effects of penetrating radiations*, D. H. Gray: *Comparative studies*

* Self-reference. Np. teoria dotycząca wszystkich teorii, czyli włączająca do swego przedmiotu samą siebie, ma cechę samoporeczalności.

of the biological effects of rays, neutrons and other ionising radiations, D. G. Catchside: *Genetic effects of radiations*, D. E. Lea: *The actions of radiations on viruses and bacteria*, A. Glucksmann: *Quantitative histological analysis of radiation-effects in human carcinomata*). Poza artykułami teoretycznymi i eksperymentalnymi dużo miejsca poświęcono zastosowaniu radiologii do medycyny praktycznej — terapii wysokich napięć, leczeniu rądem itp. Zeszyt kończy przegląd brytyjskich książek lekarskich, filmów naukowych i dydaktycznych, oraz szczegółowa bibliografia prac drukowanych w przeszło czterdziestu brytyjskich czasopismach medycznych i pokrewnych w ostatnich miesiącach.

Ze względu na wysoki poziom naukowy i aktualność tematów należy biuletyn ten zaliczyć do najlepszych lekarsko-przyrodniczych pism sprawozdawczych.

BIOLOGY AND HUMAN AFFAIRS jest czasopismem wydawanym przez Brytyjską Radę Higieny Społecznej, a poświęconym „sprawom człowieka” na pograniczach socjologii, antropologii, demografii, biologii, medycyny, higieny, psychologii, wychowania i etyki. Spełnia ono zadanie z jednej strony informacyjne w zakresie działalności Rady Higieny Społecznej oraz innych pokrewnych instytucji i towarzystw, z drugiej zaś popularyzacyjne w zakresie wymienionych powyżej dziedzin wiedzy. W nrze 3 (vol. 11, 1946) znajdujemy obszernie sprawozdanie z konferencji o życiu wiejskim, będącej — jak pisze sprawozdawca — serią ćwiczeń z biologii społeczeństwa na wysokim poziomie. Tematem konferencji były głównie zagadnienia nasuwane przez przenikanie kultury zachodniej do wiejskiego życia ludów pierwotnych.

W artykule *Wychowanie do życia rodzinnego* R. Weatherall omawia sprawę przygotowania młodzieży do szczęśliwego i użyteczniejszego życia rodzinnego w dzisiejszych warunkach społecznych i gospodarczych oraz doniosłość zagadnień ludnościowych i wychowawczych. „Powinniśmy być nauczani myśleć jak obywatele i istoty społeczne w ten sposób, aby zachować równowagę między wolnością jednostki a planowaniem narodowym”, pisze autor. A szkoły, od najniższych do najwyższych, pozostają niestety w tyle za zmianami, dokonywującymi się w świecie, zamiast żeby dawać im początek wychowywaniem w nowych ideałach. Stąd akademickość wychowania, nacisk na wiedzę dla niej samej — koncepcja z gruntu błędna, gdyż wiedza ma służyć człowiekowi.

Najgorzej pod tym względem jest na uniwersytetach. Toteż „uniwersytety powinny podjąć kroki w celu dostosowania swej postawy i swego nauczania do współczesnego świata oraz wszcząć badania zagadnień życia rodzinnego, które wyłaniają się ze wszystkich stron. Naród nie przewidujący zasługuje na los, jaki go spotyka, a gdzieś mamy się spodziewać przewidywania, jeśli nie na uniwersytetach, rozporządzających zarówno ludźmi o najwyższych kwalifikacjach intelektualnych jak niezbędnymi materiałami?”

Warto również omówić artykuł F. E. Crew, wybitnego genetyka, prezesa Brytyjskiej Rady Higieny Społecznej, o *Biologicznych aspektach rodziny*. Omówiłwszy biologiczne podłoże płci i małżeństwa, w zakończeniu swego

artykułu autor stwierdza brak biologicznych podstaw postulatu trwałości związku małżeńskiego, który ma uzasadnienie jedynie w dobrze dzieci, dopóki są biologicznie zależne od rodziców i potrzebują rodzicielskiej troskliwości. Gdyż choć wielka ilość małżeństw zupełnie się nie nadaje do wychowywania swych dzieci, nie stworzono dotychczas instytucji, która by dorównała domowi w moralnym i uczuciowym wychowaniu dziecka. W nowoczesnym uprzemysłowionym społeczeństwie potrzeba kształcenia przyszłych rodziców jest coraz większa, a niezależnie od przemian, jakim może ulec małżeństwo, wydaje się w najwyższym stopniu pożądane, aby rodzina w tej czy innej postaci pozostała.

Powinniśmy starannie unikać małżeństw, które mogą dać fizycznie lub psychicznie ułomne potomstwo. Biologiczna poprawa człowieka wymaga również legalizacji, rozpowszechnienia i udoskonalenia przez badania naukowe kontroli urodzeń, zarówno pozytywnej jak negatywnej. Towarzyszyć temu powinno uświadomienie społeczne i poczucie odpowiedzialności za wydawanie dzieci na świat. „Każde pokolenie może być lepsze od poprzedniego jedynie w wyniku pewnego rodzaju selekcji. Świadoma selekcja wymaga posiadania celu. Ze społecznego punktu widzenia najważniejszym celem jest poprawa tych czynników genetycznych, od których zależy zdrowie, inteligencja i cechy temperamentu sprzyjające życzliwości i społecznemu zachowaniu się. Jak zmieniliśmy cechy naszych zwierząt domowych, tak możemy zmienić nasze własne, jeśli chcemy”. Słów tych jednak nie należy rozumieć jako przypisywanie wyłącznej roli dziedziczności, gdyż w innym miejscu Crew pisze zgodnie z dzisiejszym stanem naszej wiedzy o tych sprawach, że „geny wyznaczają, czym się jednostka stać może; czym się rzeczywiście staje, zależy w dużej mierze od wpływów środowiska. W rozwoju wielu cech fizycznych i psychicznych środowisko jest potężniejsze niż dziedziczność”. Artykuł Crew jest ciekawym przykładem naukowego ujęcia pewnych biologicznych zagadnień życia społecznego w myśl założeń biologii społecznej.

Poza tym numer zawiera kilka innych artykułów z zakresu antropologii, socjologii zwierząt, epidemiologii i psychologii. Pismo w całości przedstawia się ciekawie i spełnia niewątpliwie pożyteczną rolę, szerząc wiedzę biologiczną o człowieku i naukową postawę w sprawach tak opanowanych przez uprzedzenia i tradycje, jak moralność i życie płciowe.

Kronika

DZIAŁALNOŚĆ BRITISH COUNCIL w roku sprawozdawczym 1944—1945 omawia *Nature* w nrze 3983 z dnia 2 marca 1946. W marcu 1945 roku działało dziewięćdziesiąt dziewięć instytucji brytyjskich i podobnych ośrodków w różnych krajach. Dzięki pośrednictwu *British Council* trzydziestu siedmiu profesorów i docentów brytyjskich dostało stanowiska na zagranicznych uniwersytetach w okresie między marcem 1941 a marcem 1945 roku, a w końcu tego okresu 161 zagranicznych stypendystów *British Council* studiowało w Kró-

leństwie Zjednoczonym. Rok sprawozdawczy upłynął pod znakiem wszczenia działalności w wyzwolonej Europie. Poza Europą najżywszą działalność przejawiały placówki w Persji i Argentynie oraz Chinach, gdzie *British Council Cultural Scientific Office* wspaniale się rozwija pod kierownictwem głośnego biochemika i biologa Josepha Needhama. Działalność *British Council* zbliżona jest bardzo do projektowanej działalności UNESCO i spełnia ważną rolę z punktu widzenia brytyjskiej propagandy kulturalnej. Poczytność *Monthly Science News* i *Science Comment*, wydawanych przez *British Council*, stale rośnie. Podjęto również produkcję filmów naukowych: pierwszym filmem, nakręconym przy współpracy C. D. Darlingtona, jest *Podział jądra komórkowego*.

Ważne zadania informacyjne i propagandowe spełnia *British Council* w dziedzinie medycyny, a wydawany przez nią *British Medical Bulletin* osiągnął w końcu roku sprawozdawczego cyfrę 10.930 egzemplarzy nakładu

KONFERENCJA Informacyjna Międzyuniwersytecka, zwołana przez *Union Française Universitaire* i Stowarzyszenie Profesorów Uniwersyteckich Wielkiej Brytanii (A. U. E.), odbyła się w dniach 1 do 3 stycznia, w Paryżu (wg. *Nowej Szkoły*, 1946, nr 3). W konferencji wzięli udział profesorowie uniwersyteccy z Francji, Wielkiej Brytanii, Związku Radzieckiego, Stanów Zjednoczonych, Polski, Czechosłowacji, Holandii i innych krajów.

Program konferencji obejmował zagadnienia stosunków między uniwersytetami francuskimi a brytyjskimi, demokratyzacji szkoły i stosunku uniwersytetów alianckich do uniwersytetów niemieckich. Omawiano również straty, poniesione przez uniwersytety francuskie na skutek wojny, zmniejszenie się liczby studentów i opróżnienie wielu katedr z powodu paragrafu rasowego. Proponowano nawiązanie bezpośredniego kontaktu uniwersytetów francuskich z angielskimi, wymianę prac naukowych i profesorów.

W imieniu uniwersytetów polskich brał udział w dyskusji prof. Roman Kozłowski, który wygłosił dłuższe przemówienie o sytuacji uniwersytetów naszych podczas okupacji oraz o reformach, zmierzających do demokratyzacji szkolnictwa polskiego.

TRZECIE posiedzenie Komisji Przygotowawczej UNECSO odbyło się w Londynie 18 stycznia br. pod przewodnictwem miss Ellen Wilkinson, brytyjskiego ministra oświaty. Omówiono dotychczasowe prace i przyjęto do wiadomości utworzenie kilku komitetów specjalnych, między innymi jeden nauk fizycznych i jeden nauk społecznych. Komisja przygotowawcza nawiązała stosunki z Międzynarodowym Instytutem Współpracy Intelktualnej w Paryżu, Międzynarodowym Instytutem Wychowania w Genewie i nowoutworzonym *Committee on the Distribution of Information*, założonym przez komisję przygotowawczą Narodów Zjednoczonych.

W STYCZNIU br. zaczęła działać placówka *British Council* w Warszawie. Jej biuro naukowe ułatwia nawiązywanie kontaktów z brytyjskimi towarzystwami i instytucjami naukowymi, pośredniczy w wymianie wydawnictw, dostarcza informacji we wszelkich sprawach naukowych, udziela porad w zakresie zaopatrzenia w przyrządy, książki i czasopisma, sprowadza filmy naukowe,

zwłaszcza medyczne, zaopatruje prasę w artykuły i materiał fotograficzny, dostarcza najnowsze brytyjskie książki naukowe do recenzji itp. Biuro naukowe nie wyczerpuje, oczywiście, całego zakresu działalności warszawskiej placówki *British Council*, która obejmuje sztuki piękne, literaturę, muzykę i wychowanie, ogarniając w ten sposób wszystkie ważniejsze dziedziny polsko-angielskiej współpracy kulturalnej i oddając olbrzymie usługi naszemu życiu umysłowemu.

NAUKA w Czechosłowacji była tematem zebrania w *Society for Visiting Scientists* w Londynie dnia 1 lutego br. Czeski *chargé d'affaires* dr J. Cisar i rektor uniwersytetu praskiego prof. J. Bělehrádek przedstawili piękne tradycje nauki czeskiej, jej wielkie straty wojenne i dzisiejsze trudności, związane ze zniszczeniami, brakiem przyrządów i literatury, oraz szczupłością personelu akademickiego przy olbrzymim napływie studentów, których jest dziś w Czechosłowacji 52.000.

11 i 12 LUTEGO odbyło się w Londynie czwarte posiedzenie komisji prac przygotowawczych UNESCO (Organizacji Narodów Zjednoczonych do spraw wychowania, nauki i kultury). Pod przewodnictwem miss Ellen Wilkinson, brytyjskiego ministra oświaty, i Donalda Stone, delegata Stanów Zjednoczonych, komisja rozpatrywała dziedziny proponowanej działalności UNESCO. W obecnej chwili Organizacja obejmuje następujące komitety: A. Nauk humanistycznych i przyrodniczych; B. Wychowania; C. Środków informacji masowej; D. Bibliotek, muzeów, wymian, wydawnictw i projektów specjalnych; E. Spraw organizacyjnych. Niektóre komitety dzielą się na podkomitety — np. komitet A ma podkomitety filozofii, nauk humanistycznych, nauk społecznych oraz nauk przyrodniczych i czystych. Podkomitet nauk przyrodniczych i czystych zajmuje się międzynarodową współpracą na terenie tych nauk, działalność podkomitetu nauk społecznych obejmuje planowanie w tych naukach, ich stosowanie do dzisiejszych zagadnień międzynarodowych, organizację międzynarodowych konferencji naukowych i instytutów itd. Komitet B będzie się zajmował sprawami wychowania na wszystkich poziomach, wraz z wychowaniem dorosłych.

Komisja prac przygotowawczych zatwierdziła projekt „Miesiący UNESCO”, wysunięty przez Sir Alfreda Zimmerna. Doroczne konferencje UNESCO będą się odbywać co roku w innym kraju, a każda taką konferencję ma poprzedzać „Miesiąc UNESCO”, podczas którego odczyty, wystawy, pokazy filmowe itp. będą szerzyć ideały współpracy międzynarodowej. Pierwszy „Miesiąc UNESCO” odbędzie się zapewne w Paryżu na jesieni.

Sekretarzem wykonawczym komisji prac przygotowawczych został Julian S. Huxley (wg *Nature*, 1946, nr 3982).

KOMITET WYKONAWCZY Międzynarodowej Unii Astronomicznej zwołał w dniach 7—13 marca br. zjazd, który się odbył w salach Duńskiej Akademii Nauk w Kopenhadze z udziałem przedstawicieli Belgii, Czechosłowacji, Danii, Francji, Holandii, Norwegii, Państwa Watykańskiego, Polski, Stanów Zjednoczonych, Szwajcarii, Szwecji, Wielkiej Brytanii i ZSRR. Przedyskutowano szereg zagadnień, m. in. omówiono projekt stworzenia międzynarodowego obserwatorium, przy poparciu UNESCO.

SPRINGER w Wiedniu wznawia *Biologia Generalis* pod redakcją Ludwiga von Bertalanffy. Będzie to pierwsze czasopismo biologiczne, które się zacznie ukazywać w Austrii po wojnie, i redaktor prosi biologów zagranicznych o poparcie i współpracę. *Biologia Generalis* obejmuje, jak przed wojną, zagadnienia biologii ogólnej w szerokim rozumieniu, zastosowania chemii fizycznej i biochemii do biologii i medycyny, genetykę, cytologię ogólną, historię i filozofię biologii oraz inne przedmioty. Artykuły (w języku angielskim, francuskim, niemieckim i włoskim) można nadsyłać pod adresem redaktora: Wiedeń 111/40, Weissgärberlande 52.

NOWA Akademia Nauk została założona w Budapeszcie. Prezesem jest prof. A. Szent-Györgyi. Akademia wydaje pięć czasopism — *Acta Hungarica Mathematica, Physica, Chimica, Physiologica i Biologica* w językach kongresowych, przeważnie angielskim, i pragnie nawiązać wymiany. Adres: Eszterhazy u. 9, Budapest.

ZAGADNIENIU roli towarzystw naukowych i uniwersytetów w rozwoju i szerzeniu nauki, poświęcony jest wstępny artykuł *Nature* (nr 3986 z dnia 23 marca 1946) pt. *Learned Societies and the Diffusion of Knowledge*, omawiający artykuły, zawarte w książce zbiorowej *Science, the Universities and the Modern Crisis*, oraz przemówienie dra Harlowa Shapleya, wygłoszone w 1944 roku przed American Academy of Arts and Sciences. Przewija się w nich dużo pokrewnych myśli, zwłaszcza przekonanie o doniosłej roli, jaką w rozwoju nauki grają akademie, dzięki temu, że są instytucjami, w których się dokonuje wymiana poglądów między specjalistami z różnych dziedzin. Gdyż wąska specjalizacja nakłada na naukę niepożądane ograniczenia i w miarę postępu badań granice między poszczególnymi dziedzinami nauki zacierają się i znikają. Należy zwalczać taką organizację uniwersytetów, przy której można uzyskiwać dyplom z gruntowną znajomością własnego przedmiotu i zupełną nieznajomością wszystkich innych. Badacze z różnych dziedzin nauki powinni dbać o podtrzymywanie łączności i wymiany myśli. Konieczny jest również udział nauki w rozwiązywaniu zagadnień etycznych doby dzisiejszej i dążenie do syntezy wiedzy — zwłaszcza wiedzy o człowieku. Ludzkość stoi dziś przed nowymi zadaniami i dla spełnienia ich zarówno uniwersytety jak towarzystwa naukowe muszą ulec przebudowie i znaleźć nowe formy organizacyjne, a pracownicy naukowcy z wszystkich dziedzin powinni współdziałać w rozwiązywaniu nowych zagadnień.

JOHN MAYNARD KEYNES, wielki ekonomista angielski, autor głośnego *Treatise on Money*, właściwy twórca teorii bezrobocia, teoretyk prawdopodobieństwa, ostatnio dyrektor Banku Angielskiego, zmarł w 62 roku życia dnia 21 kwietnia 1946 roku.

WYSTAWA brytyjskich instrumentów naukowych odbędzie się w Muzeum Technicznym w Sztokholmie w maju i czerwcu br. Ma ona zobrazować postęp przemysłu angielskiego w tej dziedzinie, dokonany podczas wojny, i przy czynić się do zdobycia rynku szwedzkiego, zaopatrywanego dawniej przez firmy niemieckie.

SPRAWOZDANIA

POGRANICZ WITOLD. Studia na tematy filozofii dziejów. Spółdzielnia Księgarska „Czytelnik” 1946 b. m. w.

JEST rzeczą zrozumiałą, że w okresach wielkich przemian myśl ludzka ma tendencję do zajmowania się zagadnieniami zasadniczej wagi i odbiega od drobiazgów do problemów śmiało i szeroko zakreślonych. Jest równie zrozumiałe, że w okresie, który przed pracą naukową piętrzył tak wielkie trudności, jak okres okupacji niemieckiej, pracownicy naukowi zmuszeni byli ograniczyć swe studia nad literaturą przedmiotu, a w większym stopniu musieli i mogli poświęcić się rozbudowywaniu i pogłębianiu swych własnych przemysłów.

Z tych dwóch przyczyn książka Pogranicza jako objaw jest zjawiskiem zupełnie naturalnym. Więcej: jest ona zjawiskiem sympatycznym. Nid możemy bowiem nie czuć sympatii, gdy widzimy, jak autor własnym wysiłkiem wyważa drzwi, dawno już otwarte. Gdy zaś, co o wiele częstsze, błądzi — odczuwamy całą subiektywną wartość takiego błędu. Ale subiektywnie dodatnia ocena nie należy do właściwej recenzji. Gdy zaś zaczniemy zdawać sprawę z metodycznej i merytorycznej strony książki — okaże się, że wydanie jej, i to w pierwszym roku powojennym, było jednak, niestety, nieporozumieniem.

Metodyczną stronę książki Pogranicza scharakteryzował już raz dr Jan Szczepański (Książnica nr 20, 27.5.46). Wykazał on, jak bardzo autor nie umie stawiać problemów, jak nie może sobie dać rady z zagadnieniem empiryczności nauki czy metody indukcyjnej (którym, co najgorsza, wiele poświęca miejsca). Dodajmy do tych przykładów zagadnienie determinizmu. Rozstrzygnął je autor w słowach następujących: „Stoimy na stanowisku, że żaden fakt dziejowy nie jest nieuniknioną koniecznością, każdy dokonuje się pod pewnymi warunkami, a przy innym układzie rzeczy mógł nie dojść do skutku lub przybrać

inny charakter” (str. 107). Wątpię, czyby któryś z obrońców indeterminizmu przyznał się do tak broniącego sprawy sojusznikal

Zadaniem, jakie stawia sobie autor, jest umiejscowienie przeżywanego przez nas epoki w całości procesu dziejowego wraz z jednoczesnym otworzeniem aspektów na przyszłość (str. 64). Problem: „Wszystko to już było” i problem jedyności i niepowtarzalności faktu historycznego — stanowi najważniejsze zagadnienie książki. Już w samej jednak metodzie stawiania zagadnienia widać, że autor podchodzi do niego z dyspozycją do pewnego typu rozwiązań. Nie na darmo przecież epoka przez nas przeżywana nazywana jest przez niego „Wielką Epoką” (przed duże „W” i duże „E”). Proces, który w owej „Wielkiej Epoce” dobiega do swego „sensownego zakończenia” (str. 66) — to proces „scałania... w pierwszym rzędzie na płaszczyźnie politycznej”. Całość procesu dzieł autor na okres ekspansji kontynentalnej i okres ekspansji morskiej.

Problem sam postawiony jest słusznie i wagi jego nikt chyba nie będzie negował. Dzieje „jednoczenia się” świata warte są dziś opracowania. Ale charakterystyki dziejów ludzkości w omawianej książce nie podobna czytać z wyrozumiałością i pobłażliwością. Oto kilka przykładów:

Dowiadujemy się np., że „tragicznym losem kultury egipskiej było wyschnięcie źródeł twórczości w okresie, gdy zastygła ona w ramach tradycyjnego schematu” (str. 72). W tym jednym zdaniu mamy co najmniej dwa wyjaśnienia metoda „idem per idem”. Dalej dowiadujemy się, że Fenicjanom „tylko niewystarczający poziom techniki żeglarsstwa uniemożliwił dalekie wyprawy odkrywcze na drugą półkulę, co opóźniło bieg dziejów o całe tysiąclecia” (str. 73) — przy czym to „tylko” jest doprawdy rozbrajające! O Grekach słyszymy, że żegluga „wzmogła ich przyrodzoną ruchliwość” i że właściwy im był „pęd do współzawodnictwa, wyćwiczony zapewne w

gimnazjonach" (str. 74—75). „Nie trzeba mnożyć przykładów. Słowa takie nic mi nie wyjaśniają i dyskwalifikowałyby artykuł dziennikarski, nie tylko książkę, mającą pretensję do naukowości.

Ale nie dziwimy się takim wynikom — jeśli do swych rozważań podszedł autor z aparatem pojęć o niespotykanej nieprecyzyjności. Dość powiedzieć, że dla autora „kultura jest to drganie dwubiegunowe pomiędzy całokształtem istniejących narzędzi, a buntem przeciw nim" (str. 142). A wszystko, co autor wypisał o „stylowości", przechodzi najśmielsze wyobrażenie.

Powiedzieliśmy wyżej, że książka budzi sympatię samodzielnością wysiłku. Ale sympatia ta nie może służyć za okoliczność łagodzącą. Do wielkich zadań syntez dziejowych nie można podchodzić z filozofią opartą na Jeruzalemie, logiką Miłła, teorią poznania Biegańskiego, ekonomią Gide'a, a historią Bernheima i... Droysena! Przecież o każdym z interesujących autora tematów napisano nawet i po polsku wiele, i to nie błahych rzeczy! O indukcji i dedukcji, o determinizmie

i indeterminizmie, o periodyzacji historii, o teorii kultury napisano u nas niejedną rzecz o trwałej wartości. Poznanie i przemysłenie tych prac nie zastąpi autorowi czerpanie z „Historii Powszechnej" Sołkownickiego, ani z Biendiajewa, ani z van Loon'a, ani z Carrela, ani z innych tomów „Biblioteki Wiedzy" Trzaski. Nie stać nas na oglądanie subiektywnie wartościowych indywidualnych wysiłków, jeśli nie są włączone w całokształt myśli naukowej!

Książce Pogranicza nie można właściwie stawiać zarzutów merytorycznych, a to dlatego, że w płaszczyźnie, w jakiej się obraca, nie można podjąć żadnej naukowej dyskusji. Nie brak w niej i myśli ciekawych. Wychwytywanie ich jednak z dużej, bardzo niejasno napisanej książki, nie jest łatwe. Życzyby należało autorowi, by poszczególne interesujące go sprawy przemysłał jeszcze raz, zapoznając się jednocześnie z tym, co inni o tych sprawach myśleli.

WITOLD KULA.

SEMINARIUM HISTORII SPOŁECZNO-
GOSPODARCZEJ UŁ., ŁÓDŹ.

Wszystkich pracowników naukowych prosimy o współpracę, a towarzystwa, instytucje i zakłady naukowe o porozumiewanie się z nami w sprawie omawiania ich działalności w *Życiu Nauki*. Nadsyłane artykuły powinny być pisane na maszynie, z interlinią, po jednej stronie arkusza. Wszelkie przyczynki do *Życia Nauki* są honorowane.

Cena pojedynczego numeru wynosi zł. 30.—, prenumerata kwartalna zł. 75.—. Prenumeraty i zamówienia księgarskie przyjmuje administracja „Życia Nauki", Kraków, ul. Piłsudskiego 13-2. Konta bankowe administracji: Bank „Społem", Kraków, konto nr 38, i P.K.O. Kraków, konto nr IV-1145. Prosimy o dokładne podawanie na odcinku przekazu adresu i okresu prenumeraty.

Prosimy nie nadsyłać prenumerat pod adresem redakcji.

Wysyłka w prenumeracie następuje tylko po uiszczeniu przedpłaty.